Nr. 21. Poznań, dnia 22 maja 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Z naszych spraw.

Pisząc swego czasu o powstaniu Towarzystwa Demokratycznego powiedzieliśmy, że fakt ten w logicznej konsekwencyi przyspieszy proces różniczkowania się społeczeństwa pod względem partyjnym i przepowiedzieliśmy powstanie tak stronnictwa konserwatywnego jak stronnictwa ludowego.

Właśnie dla tego, że przewidywaliśmy ten skutek, (a przewidywać musiał go każdy, kto z zawiązanemi oczyma nie chadza wśród świata i dla kogo historya nie jest księgą na siedem pieczęci zamkniętą), bardzo chłodno powitaliśmy nowo powstałe Towarzystwo Demokratyczne. W niem bowiem upatrywaliśmy ten ferment, działanie którego musiało rozłożyć społeczeństwo na szereg grup politycznych zwalczających się wzajemnie, dążących do zagarnięcia władzy i uzyskania wpływów rozstrzygających.

Uważając się za stronę w stosunku do przemożnego wroga, nie mogliśmy upatrywać zysku w dzieleniu tej strony na stronnictwa; a ideałem naszym była myśl stworzenia takiej organizacyi politycznej, jaką jest niemiecka partya centrowa, szeregująca w swem łonie żywioły pod względem politycznych i społecznych przekonań nie mniej zróżniczkowane jak poszczególne składniki naszego społeczeństwa, a przecież dzięki konsekwentnie przeprowadzonej solidarności politycznej i naczelnej idei całą tę partyę ożywiającej, będącą zwartem i potężnem ciałem politycznem, stronnictwem, o które rozbijały się wszelkie zakusy wrogów, partyą, która nie tylko w dziedzinie pracy ustawodawczej wielką odgrywa rolę, lecz także na polu, żeby się tak wyrazić, wewnętrznej polityki społeczeństwa katolickiego pod względem organizacyjnym, oświatowym, kulturalnym, narodowym, społecznym i t. d. niezmierne położyła i wciąż pokłada zasługi.

Tem, czem w partyi centrowej jest myśl katolicka, mogła i powinna być w naszem społeczeństwie idea narodowa. To też gdy poseł Napieralski podał myśl utworzenia Rady narodowej, a wybitni działacze polityczni ją poparli, a nawet w części prasy ta myśl sympatycznego doznała przyjęcia, nawoływaliśmy w piśmie naszem do urzeczywistnienia tego projektu, spodziewając się po nim jaknajlepszych dla społeczeństwa owoców.

Niestety idea ta spotkała się z energicznym oporem w kołach narodowej demokracyi, która już wtenczas zorganizowana sama w sobie gotowała się do powiększenia swych kadrów przez przyciągnięcie do siebie szerokich kół ludowych. Pozyskawszy dla swych planów kilku redaktorów znaczniejszych pism ludowych, przystąpili działacze narodowo-demokratyczni do utworzenia partyi (znanego Towarzystwa Demokratycznego), tem samem utrudniając niezmiernie zrealizowanie projektu Rady narodowej.

Jednakże zdrowe myśli mają to do siebie, że nie giną bezowocnie. Narodowa demokracya, lękając się pierwotnie zmajoryzowania, zwalczała projekt posła Napieralskiego. Z chwilą jednak, gdy rozrosła się dzięki sukursowi z kół ludowych do rozmiarów wpływowego Towarzystwa Demokratycznego, innemi oczyma poczęła patrzeć na projekt Rady Narodowej. W pewnym artykule „Kuryera Poznańskiego," głównego organu tak narodowej demokracyi jak nowo powstałego Towarzystwa Demokratycznego, dano wyraźnie do zrozumienia, że teraz projekt Rady Narodowej nie spotkałby się z nieprzezwyciężoną opozycyą kół demokratycznych.

Z chwilą jednak istnienia już jednej partyi, do tego partyi bardzo ruchliwej i umiejącej korzystać z nadarzających się konjunktur politycznych, a cieszącej się znacznemi sympatyami pewnych warstw społecznych, trudno było przystępować do tworzenia Rady narodowej, jeżeli owa Rada nie miała się znaleźć pod przeważnemi wpływami Towarzystwa Demokratycznego i tem samem stać się karykaturą tego, czem być miała w istocie t. j. naczelną władzą całego społeczeństwa, które przecież nie miało ochoty pójść pod komendę zorganizowanej demokracyi poznańskiej.

Wytworzyło się tedy takie położenie, że chcąc urzeczywistnić projekt Rady narodowej należało albo dążyć do rozbicia i ubezwładnienia istniejącego Towarzystwa Demokratycznego i na jego gruzach wznieść gmach centralnej władzy społeczeństwa, albo też zorganizować żywioły po za To-

warzystwem stojące w odpowiednich stronnictwach politycznych i dopiero z wszystkich tych stronnictw wysadzić wydziały, mające tworzyć zawiązek i zarazem główną podstawę Rady narodowej. Ciało to należałoby dokompletować gronem mężów bezpartyjnych, aby wszelkie kierunki polityczne uwydatniające się w społeczeństwie w naczelnej instytucyi politycznej należytą uzyskały reprezentacyę.

Ponieważ sposobu rozbicia i ubezwładnienia Towarzystwa Demokratycznego nie widzimy, a możliwie największej konsolidacyi społeczeństwa pragniemy i możność osiągnięcia jej widzimy w obecnych stosunkach tylko w pewnego rodzaju koncentracyi stronnictw za pomocą Rady narodowej, przeto czyniąc z potrzeby cnotę, widzimy się zniewoleni odrzucić dawny nasz wstręt do dzielenia społeczeństwa na partye i życzymy sobie powstania rzetelnych, jasno określonych stronnictw, a przedewszystkiem powstania prawdziwego stronnictwa konserwatywnego.

„Związek narodowy“ pragnący być tem, czem w Niemczech jest partya centrowa, postawił sobie bardzo piękny cel i byłby znakomitą może instytucyą, gdyby nie było Towarzystwa Demokratycznego. Obecnie jest to organizacya prawdopodobnie spóźniona i tylko tem się pocieszać należy, że prędzej czy później na partyę zachowawczą się przekształci. Co zaś się tyczy zawiązującego się „Stronnictwa ludowego“, to dopiero odczekać należy, co się na zebraniu konstytucyjnem wykluje. Nie brak polityków, którzy upatrują w powstaniu tej organizacyi cios śmiertelny dla Towarzystwa Demokratycznego. Co do nas nie sądzimy, aby partya ta na tak słabych stała nogach. Przeciwnie widzimy wciąż rosnące wpływy jej i nie sądzimy, żeby jej zajścia towarzyszące ostatnim wyborom poważnie mogły zaszkodzić. Tymczasem nie widzimy też pod odezwą „Stronnictwa ludowego“ podpisów mężów, cieszących się znaczniejszym mirem w kołach ludowych, podczas gdy do Towarzystwa Demokratycznego należy kilku działaczy bardzo popularnych, a także kilka poczytnych pism politykę Towarzystwa popiera.

Piszemy to nie dla chwały Towarzystwa Demokratycznego, ani na pognębienie Stronnictwa ludowego, lecz na to, by oddać świadectwo prawdzie. Sądzimy bowiem, że tendencyjne lub nieświadomie mylne przedstawianie naszego położenia politycznego tylko szkodę społeczeństwu wyrządzić musi.

Jeżeli więc nowo powstające stronnictwa będą lub staną się prawdziwemi partyami, natenczas żywić należy nadzieję, że prędzej czy później dokona się to, czego w interesie sprawy i społeczeństwa życzyć najgoręcej trzeba, a mianowicie, że dojdziemy powoli wśród trudu i walki do posiadania czegoś w rodzaju moralnego rządu społeczeństwa, czy się to będzie nazywało Radą Narodową lub inaczej— to kwestya drugorzędna, bo nie nazwa, lecz treść stanowi o pożyteczności danej rzeczy.

Tymczasem wszakże należy pracować nad wyrobieniem zdrowej opinii publicznej, wzmacniać to, co nam wszystkim wspólne i pogłębiać w świadomości ogółu zasadę solidarności narodowej, która nie może polegać na bezwzględnym przymusie, lecz w całej istocie swojej zawiera charakter pewnej kompromisowości.

* * *

W czasach kiedy ta ważna zasada tak niepotrzebnie złamaną została, nie od rzeczy będzie pokrótce przypomnieć opublikowaną niedawno w pismach rezolucyę parlamentarną Koła Polskiego. W rezolucyi tej podnosi Koło wysoko zasadę solidarności narodowej i stawia normę, według której posłowie ściśle stosować się winni. Według rezolucyi tej „Koło, jako reprezentacya całego narodu, związane solidarnością, ma być wzorem, jak w imię dobra publicznego różnice między sobą wyrównywać, jak sprzeczne interesy godzić i jak poszczególne zdania podporządkowywać zdaniu większości i w ten sposób unikać tego wszystkiego, co w przyszłości naszej z liberum veto złego i nieszczęsnego wynikło“. „Jednakże—powiada rezolucya dalej—solidarność byłaby czczem pojęciem, gdyby się kończyła w parlamencie, a nie istniała dla Koła poza parlamentem w życiu publicznem społeczeństwa“, i dlatego „kto z członków Koła ze zdaniem swojem w przeciwieństwie do zdania większości się dostał, ma prawo zdanie swoje na zewnątrz zaznaczyć; nie wolno mu jednak większości Koła ani członków, większość tę stanowiących, oskarżać lub potępiać“.

Jasne i słuszne słowa rezolucyi, która oczywiście także zaznacza, że w skład Koła mogą tylko wchodzić legalnie pod hasłem solidarności narodowej wybrani posłowie, przyjęła cała prasa z uznaniem. „Kurjer Poznański“ rozpisał się szerzej o tej rezolucyi i pochwalając ją najzupełniej dodaje, że „takie zaakcentowanie stanowiska Koła zapobiegnie w przyszłości niewątpliwie niewłaściwym występom niektórych czynników, a osiągnąwszy to, podniesie powagę Koła w społeczeństwie“.

Także „Katolikowe“ gazety rozpisują się o tej rezolucyi i piszą pomiędzy innemi: „Solidarność w samym tylko parlamencie byłaby istotnie „czczem pojęciem“, gdyby poszczególni członkowie Koła nie mieli jej przestrzegać i poza parlamentem, w całem życiu publicznem, i gdyby — co jeszcze gorsze — mieli Koło lub członków, stanowiących jego większość, oskarżać lub potępiać. Koło od swych poszczególnych członków musi wymagać tej lojalności. Każda frakcya niemiecka wymaga jej od poszczególnych swych członków. W towarzystwach i związkach naszych mamy po większej części przepisy, zagwarantowane ustawami, że członek, szkodzący swemu towarzystwu niewłaściwem postępowaniem, niewłaściwą krytyką, może być w danym razie nawet wykluczony z towarzystwa lub związku.

Inaczej też być nie może, bo ani związki ani towarzystwa, ani wogóle cała sprawa publiczna na długo nierządem stać nie będzie, za to może się łatwo rozkruszać i rozsypywać.

O ileż więcej więc Koło od poszczególnych swych członków domagać się musi, aby w swych zewnętrznych wystąpieniach poza parlamentem, a więc na wiecach publicznych, w gazetach szanowali uchwały, zapadłe większością członków Koła, ich nie oskarżali i nie potępiali, i przez to Koła nie dyskredytowali i nie obniżali jego powagi i znaczenia.“

Do powyżej zaznaczonej opinii nic z naszej strony nie mamy do dodania. I my żywimy nadzieję, że odtąd „niektóre czynniki“ w Kole zaprzestaną w gazetach swych napadać na Koło, jeżeli ze swem zdaniem znaleźli się w mniejszości, i dostarczać przez to przeciwnikom materyału do zjadliwych artykułów, a w społeczeństwie budzić niechęć i nieufność do własnej reprezentacyi.

Żadnego uczucia, żadnej miłości, nie jest tak łatwo za daleko posunąć, jak macierzyńskiego przywiązania. Oprócz nieustannych cierpień, których dla matki źródłem się staje, na dzieciach jeszcze smutniejsze sprawia skutki. Matka spokojnością tylko i życiem błąd swój przypłacić może, dzieci charakterem i sercem.

Klementyna Hofmanowa.

* * *

Z ludźmi jak z kłosem, im pełniejszy, tem prędzej wykruszon.

Z. Krasiński.

Kolonie wakacyjne.

Są idee, pomysły, wynalazki, które się ludziom udały, jedne więcej, drugie mniej, niektóre wcale nie, a inne znów tak wybornie, że im nic a nic do zarzucenia niema.

Do pomysłów, które się społeczeństwu ogromnie udały, które są i mądre i serdeczne zarazem, i praktyczne i uczuciowe, do pomysłów, które mają i porządną głowę i prawidłowe serce, należą bez zaprzeczenia — Kolonie wakacyjne.

Wiemy wszyscy, co to są kolonie letnie? To jest powietrze dla tych, którzy nie mają powietrza, a są mali, słabi i biedni; to jest słońce dla tych, którzy nie mają słońca, a rosną, rozwijają się, ziębną zimą, a prażą w izbach latem; to jest niebo błękitne dla tych, którzy mają nad sobą sufit sutereny, to jest rzeka dla tych, którzy nie mają czasem miski, aby się w niej umyć, to jest las dla tych, którzy mają czasem aż po lat dwanaście i nie wiedzą co to drzew więcej razem, słowem, to jest — przyroda, cudowne dzieło boskie, czyste, ciche, dobroczynne dla tych, którzy mają tylko miasto, mury, ulice, kurz, pył, zaduch i gwar, zabijające zdrowie i przygniatające ducha.

Ci, którzy chcą mieć w przyszłości piękny, wyrośnięty, zdrowy las do produkcyjnej gospodarki leśnej przydatny, największego starania dokładają około młodych sadzonek, grodzą je osobnemi koszyczkami każdą, obkopują, podsypują ziemią, wychowują poprostu młode drzewko, aby już dalej samodzielnie rosło i walczyło z wichrem i burzą, gdy sił i odporności nabierze.

A jakiejże to kultury używają te małe sadzonki ludzkości, których biedne, nędzne, chorowite główki sterczą gromadkami u wejścia do sklepików, przy schodkach suteryn i piwnic, w kącikach brudnych dziedzińców, ciasnych korytarzyków, na rogach zaułków lub pod ścianami chodników? W oczy temu drobiazgowi leci pył, w usta i płuca kurz, w uszy brzydkie słowa gawiedzi, kłótnie i złorzeczenia; najeżdżają na te maleństwa dorożkarze, tramwaje i bicykle, potrącają przechodnie, straszą psy, sypie się wapno i cegła od budujących się domów i cały teroryzm wielkiego miasta gniecie tę drobną roślinkę, która jednak wydziera się gwałtem na powietrze, na dwór, byle mieć choć tę wstążkę nieba nad sobą, byle mieć choć tę odrobinę swobody, jaką daje ulica.

Ale i tutaj ludzie fukają na szarą gromadkę, bawiącą się na trotuarze i przynajmniej słowem odpychają dzieciaki pod ściany domów lub do bramy. Z takich roślin nie będzie ludzkiego lasu, nie będzie człowieczego zastępu ze sztandarem świeżych idej, pracy, z poczuciem obowiązku; tak bez uprawy wyrosłe drzewko, słabe i chorowite, padnie w pierwszej lepszej zawierusze epidemicznej lub socyalnej i zuboży kraj o straconą jednostkę. A takich małych jednostek jest tysiące niestety.

Z takich to fatalnych warunków wyrywają biedne dziecko na parę chociaż tygodni kolonie wakacyjne.

Zasłużone nasze Towarzystwo „Stella" wysyła corocznie spory zastęp dzieci na wakacye. Znajdują one opiekę i gościnę bądź to w domach obywatelskich po wsiach i u gospodarzy, bądź w Kobylnicy, gdzie Towarzystwo utrzymuje wzorowo kierowaną kolonię. Część chłopców przyjmuje pani Turnowa do kolonii wakacyjnej w Lulinie, kilkadziesiąt dziewcząt goszczą państwo hrabiostwo Żółtowscy w kolonii w Białczu, a p. hr. Skórzewski z Czerniejewa przekazuje rok rocznie po 2000 mk. dla dzieci potrzebujących kuracyi solankowej w Inowrocławiu. Oprócz tego urządza Towarzystwo dla tych dzieci, których na wsi umieścić nie może, a które potrzebują prawidłowego odżywiania „kuracyę mleczną", Tak np. zeszłego roku uczęszczało 120 dzieci przez czas wielkowakacyjny do Zakładu św. Józefa, gdzie im Siostry Miłosierdzia wydzielały bezpłatnie odpowiednią ilość zdrowego mleka.

Mimo wszystkie te zabiegi i mimo wielką ofiarność szczególniejszych dobrodziejów biednej naszej dziatwy, niestety nie wszystkie dzieci zgłaszające się do Towarzystwa mogą być uwzględnione. A przecież tak bardzo życzyć by należało, aby jaknajwięcej tego drobiazgu na wieś wysyłać można.

Mamy nadzieję, że zwracając uwagę na zadanie i działalność towarzystwa „Stelli", zachęcimy niejednego z naszych na wsi mieszkających czytelników do przyjęcia na czas wielkich wakacyj takiego maleńkiego obywatela poznańskiego. W tym celu należy się zgłosić do sekretarza „Stelli" p. redaktora W. Łebińskiego, Poznań Dolna Wałowa 1. i podać liczbę i płeć dzieci, które się ugościć zamierza.

Aby usunąć wszelkie obawy, zaznaczyć należy, że Towarzystwo wysyła do domów prywatnych tylko zdrowe, sumiennie przez lekarzy zbadane dzieci.

Król Jerzy V.

Kiedy w zaprzeszłą sobotę po południu nowy król Wielkiej Brytanii wraz z małżonką udawał się do swej matki królowej-wdowy Aleksandry, ulice Londynu pełne były publiczności, mimo dnia roboczego. A te tłumy witały przejeżdżającą parę królewską powiewaniem kapeluszy, ale bez jednego okrzyku. Poza tem jednak etykietalnem milczeniem, nakazanem obecnością katafalku, kryło się też z pewnością wiele niepokoju o to, jakim się okaże nowy król w obecnych trudnych dla Anglii warunkach?

Król Jerzy V. jest w chwili wstąpienia na tron tak samo zagadką, jak musi być każdy „książę Walii", jak nią był jego ojciec. Co najwyżej można pewne wnioski wyciągać z jego dotychczasowego prywatnego życia i z jego temperamentu. Jak jednak tego rodzaju wnioski mogą być błędne, poucza choćby przykład jego ojca...

Na razie więc można tyle powiedzieć, że podczas gdy Edward VII., mimo swej tuszy, był stosunkowo słabego zdrowia, natomiast odznaczał się bujnym, żywym temperamentem i skłonnościami więcej estetycznemi, król Jerzy V. z dotychczasowego swego życia przedstawia się jako człowiek zdrowy, silny, oddany sportom i usposobienia raczej purytańskiego.

Przedewszystkiem liczyć się z tem trzeba, że należy do tej kategoryi panujących, którzy nie od urodzenia byli przeznaczeni do korony, którzy więc odebrali z początku swobodniejsze wychowanie, odbijające się raz na zawsze na ich charakterze. Król Jerzy V. bowiem urodził się jako drugi syn króla Edwarda VII. i młodszej od niego o lat 5 żony księżniczki Aleksandry duńskiej. Następcą tronu więc był starszy syn Edward, książę Clarencyi, który umarł w styczniu 1892 r. niespodziewanie na influenzę tak, że Jerzy dopiero mając lat 26, zaledwo sam powstawszy z ciężkiej choroby, po tyfusie, znalazł się w roli następcy tronu angielskiego.

Śmierć brata była dla Jerzego ciężkim ciosem, byli to bowiem bracia bardzo się kochający, którzy od lat 18 prawie że się nie rozłączali, a Jerzy posunął pietyzm dla jego pamięci tak daleko, że, jak wiadomo, ożenił się z narzeczoną swego brata, księżniczką Wiktoryą Maryą Teck (ur. 26 maja 1877 r.)

Mimo, że z dwojga dzieci ówczesnego Edwarda, księcia Walii, Jerzy był młodszym, przecież w dziecięcych zabawach robił zawsze wrażenie starszego od Edwarda. Silniejszy i zdrowszy od niego, wyprzedzał go w dosiadaniu konia, w pływaniu, przeskakiwaniu rowów i płotów, otaczając słabszego Edwarda swą braterską opieką i zachętą. Miał też być umysłowo zdolniejszy od niego.



Książę Edward Albert, następca tronu angielskiego. **Król angielski Jerzy V.** **Królowa angielska Wiktorya Marya.**

Obaj oni otrzymali bardzo twarde, marynarskie wychowanie już jako mali chłopcy. Kiedy Jerzy miał lat zaledwie 12, oddano obu jako kadetów okrętowych na pokład statku „Britannia“ w Dartmouth, gdzie traktowano ich na równi ze wszystkimi „midshipami“ (chłopcami okrętowymi) z tą jedynie różnicą, że obaj synowie królewscy mieli osobną, a wspólną dla nich obu sypialnię. Zresztą jak wszyscy inni wychowankowie wstawali o świcie, kąpali się zaraz potem w morzu, odbywali poranne wspólne modlitwy, a potem dostawali dopiero śniadanie, które jedli pospiesznie, aby pójść na poranne ćwiczenia i przegląd kończące się dopiero o godzinie 9. Potem następowała nauka i praktyczne ćwiczenia marynarskie, przy których synowie królewscy ciągnęli z wytężeniem liny i wdrapywali się na maszty na równi ze wszystkimi kolegami. Potem obiad, potem godzina wolnego czasu, potem kadeci jechali na ląd, aby odbyć obowiązkową jakąś hygieniczną grę sportową, wieczorem znowu nauka, kolacya, jeszcze raz wspólne modlitwy, a o godz. 10 wszyscy już leżeli w łóżku.

Znalazłszy się w ostatnim szeregu „midshipów“, książęta szybko posuwali się naprzód, przyczem znowu młodszy Jerzy miał przodować nietylko ćwiczeniami cielesnemi, ale i wybitnemi zdolnościami matematycznemi.

Z okrętu szkolnego obaj książęta dostali się na pokład „prawdziwego“ statku „Bachantki“, która wraz z nimi wyruszyła w r. 1879 do Indyj Zachodnich. Po roku powrócili do Anglii, ale już tej samej jesieni wyruszyli w ponowną podróż marynarską do Afryki i Australii, skąd po roku, ciągle na pokładzie „Bachantki“, wyruszyli do Japonii i Chin, a stąd na Singapore, Ceylon, kanał Suezki, Egipt, Grecyę, prawie po dwuletniej nieobecności powrócili do Anglii i tu w Osborne spotkał ich wielki zaszczyt: odwiedziny na pokładzie przez ich babkę, królowę Wiktoryę. Czysto po angielsku te wyprawy dalekie, które ich pasowały na mężczyzn, zakończyły się uroczystością religijną i bierzmowaniem.

Teraz przyszła kolej na uzupełnienie ogólnego wykształcenia, i tak np. obaj książęta w celu nabrania wprawy w języku francuskim przepędzili osiem miesięcy w Lozannie w Szwajcaryi. Potem Edward, jako następca tronu, poszedł kończyć wykształcenie w uniwersytecie w Cambridge, a Jerzy, choć był na wszelką burzę morską tak wrażliwy, że za każdym razem przechodził chorobę morską, co się zdarza wielu nawet znakomitym marynarzom, pozostał przy marynarce.

I zdawało się, że ten zawód na zawsze go zatrzyma, gdy zaszły tragiczne wypadki, wspomniane na początku, które go postawiły na stopniach tronu, a nawet, jak się z początku zdawało, bliżej, niż to się później stało, bo wobec przeciągającego się życia jego babki, królowej Wiktoryi, a słabego zdrowia księcia Walii, późniejszego króla Edwarda VII, przez pewien czas poważnie się liczono z tem, że jej następcą będzie nie syn Edward, ale wnuk Jerzy.

Wspomniane już małżeństwo księcia Jerzego z księżniczką Teck odbyło się dnia 6 lipca 1893. Oboje małżonkowie odbyli już wspólnie podróż do Australii i Kanady, a później książę Jerzy, mimo, że już małżonek, „ojciec dzieciom“, a wreszcie oficyalny nawet następca tronu, nie porzucił swego zamiłowania do marynarki.

Między innemi, kiedy zaczęto budować w Anglii olbrzymie pancerniki, zwane od imienia pierwszego z nich „Dreadnoughtami“, książę Jerzy poznał je z praktyki i odbył dłuższą wyprawę na jednym z nich jako podwładny oficer komendanta. Jak był nawet wówczas traktowany, i jak sam traktował swoje obowiązki, świadczy fakt, że kiedy „Dreadnought“ zawinął do jakiegoś portu, kapitan kazał księciu Jerzemu nadzorować ładowanie węgla, a sam wyszedł na ląd. Tymczasem zjawił się na pokładzie miejscowy dygnitarz turecki, basza Refek, a księciu w nieobecności kapitana, przypadła rola powitania go. Książę zjawił się przed zdumionym baszą w bluzie, osmolony, i wygłosił do niego następującą przemowę: „Kapitan rozkazał mi powitać pana, ale nie odwołał poprzedniego rozkazu nadzorowania ładowania węgla, przebaczy mi więc pan, że się jawię przed nim w takim kostyumie.“

W ostatnim okresie swego życia dotychczasowego, obecny król Jerzy V. odwiedził raz jeszcze Kanadę, gdzie bardzo łatwo przystosował się do prostego i pierwotnego sposobu życia kolonistów. Przy sposobności dał też upust prawdziwie amerykańskim upodobaniom. Jadąc pociągiem po preryach, aby mieć przed sobą niczem nie skrępowany widok, lubił zajmować miejsce przed lokomotywą, na pewnego rodzaju pługu, którego zadaniem jest strącać z toru bydło stepowe i chronić je przed przejechaniem.

O innych bliższych podróżach królestwa obecnego na ląd europejski nie wspominamy.

Co się tyczy pewnych drobnych rysów nowego króla, któreby pozwalały wnioskować o nim na przyszłość, to stwierdzić należy, że jestto typowy Anglik w usposobieniu i sposobie życia, punktualny i systematyczny. Z zamiłowań jego wspomnieć można, że jest zapalonym „filatelistą“, a jego zbiory marek mają być wspaniałe. Drugiem amatorstwem jest zbieranie obrazków, przedstawiających dzieci, aż do obrazkowych afiszów, ogłaszających rozmaite „mączki dla dzieci.“

Szczęśliwość się kryje w cieniu,
Bliżej człeka niż rozumie:
Podział tego, co życzeniu
Założyć granice umie.

Niemcewicz.

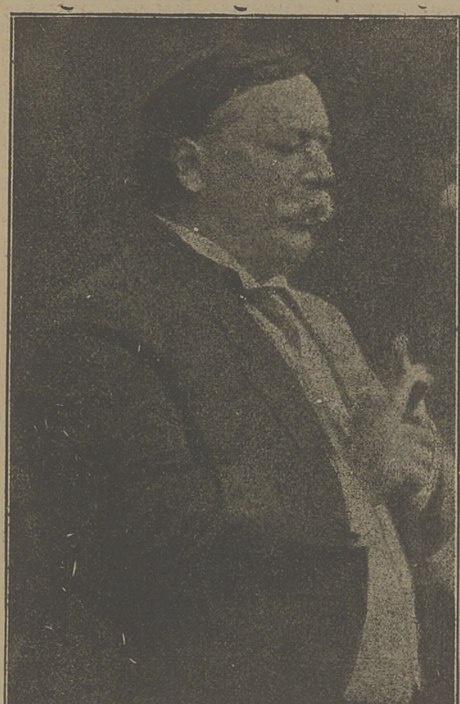
* * *

Kobieta jest negacyą natury. Nawet w jesieni pokrywa się świeżemi barwami.

Odsłonięcie pomników Kościuszki i Pułaskiego w Waszyngtonie.

Dnia 10-go b. m. odsłonięto w Waszyngtonie w uroczysty sposób pomniki Kościuszki i Pułaskiego. Pomnik Pułaskiego jest podarkiem Kongresu, pomnik Kościuszki podarkiem polskiego narodu, a mianowicie fundacyi rozmaitych polskich związków, przedewszystkiem Polskiego Związku Narodowego.

Czas uroczystości był tak oznaczony, że prezydent Taft mógł w niej



Wiliam Howard Taft,
prezydent Stanów Zjednocz. Ameryki Północnej.

wziąć udział. Przy odsłonięciu pomnika Pułaskiego wygłosił prezydent Taft mowę uroczystą, przy odsłonięciu pomnika Kościuszki sekretarz wojny Dickinson.

Prez. Taft poświęcił obu wodzom słowa głębokiego uznania i porównał ich z Lafayettem i Rochambeau. Powinnością Ameryki jest poświęcić trwały znak wdzięczności bohaterom, którzy przybyli do niej w godzinę niebezpieczeństwa. Gdyby Pułaski i Kościuszko mogli widzieć, jak 3 miliony polskich obywateli zajmują honorowe miejsca wśród amerykańskich obywateli, do pomyślności których oni się przyczynili i gdyby mogli odczuć szczęście, które Polacy pod chorągwią gwiaździstą znaleźli, pod chorągwią, do której obrony obaj jenerałowie się przyczynili, odczuliby, że praca ich nie była daremna.

Sekretarz wojny Dickinson przemawiał również w słowach pełnych uznania o polskich wodzach. Powiedział on, że Kościuszko niejedną ze swych szlachetniejszych zalet zawdzięcza połączeniu się z Waszyngtonem. Od początku jego kolei, aż do pola walki, gdzie pokryty ranami padł, wypowiedziawszy znamienne prorocze słowa „finis Poloniae“ (Kościuszko, jak wiadomo, nigdy tych słów nie powiedział), ani jednej zmazy niema na jego charakterze. Miejsce jego jest pośród światowych bohaterów i raz na zawsze połączony on jest z Jerzym Waszyngtonem.

Roosevelt przysłał na uroczystość telegram następujący:

Przyjmijcie panowie moje życzenia dla wszystkich Amerykanów polskiego pochodzenia, z okazyi odsłonięcia pomników obu wielkich polskich bohaterów, których imiona na zawsze zapisane są na honorowych kartach amerykańskiej historyi.

Odsłonięcie pomników poprzedzone było przez paradę wojskową, w której wzięło udział regularne wojsko stacyonowane w Myrs i gwardya narodowa.

Równocześnie otwarto pierwszy polski Kongres narodowy, na który przybyło prócz licznych gości z Europy około tysiąc delegatów z wszystkich stanów Ameryki.

Głosy od przyjaciół.

Obchód Konstytucyi 3-go Maja.

Lowanium, 15 maja 1910.

Dnia 5 maja rb. urządziło stowarzyszenia „Filaretów“ w Lowanium obchód „Konstytucyi 3 maja“. Uroczystość rozpoczęto modlitwą oraz śpiewem „Z dymem pożarów“. Mowę wstępną wypowiedział ks. Jewasiński. Śpiew „Witaj majowa jutrzenko!“ urozmaicił program. Referat przeszło półgodzinny wygłosił ks. Trojanowski, poczem zaśpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — Śpiewem „Boże coś Polskę“ i modlitwą zakończono uroczystość.

Po południu w tym samym dniu urządziła i „Polonia Lovaniensis“ w sali „Cercle Catholique“ obchód ku uczczeniu Konstytucyi 3 Maja, setnej rocznicy narodzin Słowackiego, 500-letniego jubileuszu zwycięstwa pod Grunwaldem. Śpiewem, jaki wykonał chór, oraz popisami muzycznemi uczczono setną rocznicę urodzin Chopina.

Jako mówcy występowali prezes — ks. Borowski i ks. Trojanowski. W muzyce brał udział ks. Notecki — solo skrzypce — przy akompaniamencie p. Morawskiego. Uroczystość zakończono wspólnem odśpiewaniem hymnu „Boże coś Polskę!“

J. W.

Wiadomości.

— Za liczne życzenia zielonoświąteczne, otrzymane z blizka i z daleka, składamy staropolskie: Bóg zapłać!

— Z Towarzystwa Czytelni Ludowych. Członkom Towarzystwa Czytelni Ludowych w mieście Poznaniu najuprzejmiej donosimy co następuje:

Dotychczasowy delegat i skarbnik T. C. L. na miasto Poznań, pan Stanisł. Krysiewicz, po przeszło 25-cio letniej owocnej pracy dla Towarzystwa naszego, z początkiem bieżącego roku urząd swój złożył.

Wobec tego i w myśl regulaminu, wydanego przez Zarząd Główny T. C. L. dla komitetów powiatowych, podzieliliśmy miasto nasze na 13 obwodów, w których nadal składki od członków pobierać będą wybrani na zebraniach obwodowych członkowie — kolektorzy. Kolektorzy ci posiadać będą kwity z podpisem skarbnika naszego **pana aptekarza Leonarda Kostrzeńskiego i jednego członka komitetu**, jako przewodniczącego odnośnego obwodu. Tak będzie nadal.

Ale ponieważ w pierwszych miesiącach po ustąpieniu dotychczasowego skarbnika-delegata nie posiadaliśmy wogóle kolektorów i praca nasza zorganizowaną jeszcze nie była, dlatego składki pobierał płatny kursor i wręczał kwity podpisane tylko przez przewodniczącego odnośnego obwodu. To więc dla usunięcia wątpliwości, o których dochodzą nas z miasta posłuchy, niniejszem do wiadomości podajemy.

Przy tej sposobności prosimy współobywateli naszych Rodaków gorąco, żeby o Towarzystwie Czytelni Ludowych pamiętać zechcieli, do niego przystępowali i ofiarnością swoją prace jego popierali.

Dotąd Poznań na cele Tow. Czyt. Lud składał zawstydzająco mało.

Żywimy nadzieję, że wreszcie uda nam się przełamać obojętność, jaka w mieście naszem dla kulturalnych i oświatowych celów T. C. L. istnieje, i że powoli znajdziemy środki i możność do sprostania wielkiemu zadaniu, jakie rozszerzenie działalności T. C. L. na nas nałożyło.

Adres skarbnika naszego: Wny Leonard Kostrzeński, Wiedeńska 10.

Poznań, dnia 11-go maja 1910.

Komitet Towarzystwa Czytelni Ludowych na miasto Poznań.

Dr. Ksaw. Zakrzewski, prezes. **Leonard Kostrzeński**, skarbnik.

Dr. Stefan Michalski, bibliotekarz.

Jan Durczykiewicz, Stefan Dobrowolski, Dr. Stanisław Krzyżankiewicz, Walery Łebiński, Ksiądz K. Maliński, Ksiądz Wacław Meyer, Kaźmierz Piechocki, Stanisław Porawski, Wincenty Szpotański, Ksiądz Władysław Wróblewski.

— „Westa“ Bank wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.

We wtorek dnia 10-go maja b. r. o godzinie 4-tej po południu odbyło się na sali Domu Katolickiego zwyczajne walne zebranie „Westy,“ Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.

Zagaił takowe i przewodniczył mu prezes rady nadzorczej pan dyrektor dr. Rzepnikow-

ski z Lubawy. Protokół spisywał pan notaryusz Trąmpczyński.

Stosownie do porządku obrad zdał sprawozdanie generalny dyrektor „Westy“ p. dr. Mieczkowski i przedłożył bilans i obrachunek zysków i strat za rok 1909.

W imieniu komisyi rewizyjnej referował pan Stanisław Leitgeber i wniósł o udzielenie pokwitowania dyrekcyi i radzie nadzorczej. Zebranie udziela tegoż pokwitowania oraz przyjmuje proponowany przez zarząd i radę nadzorczą podział zysków.

Do rady nadzorczej wybrani zostali większością głosów: występujący według starszeństwa panowie Jan Leitgeber i dr. Adam Karwowski z Poznania ponownie na przeciąg 5 lat.

Do komisyi rewizyjnej wybrano na następny rok panów: Piotra Umbreita, Stanisława Leitgebra i Stanisława Średnickiego, a na ich zastępców panów: dra Pernaczyńskiego i Ludwika Miklaszewskiego.

Na tem zamknął przewodniczący walne zebranie, poczem zebrani wysłuchali przeczytanego przez p. mecenasa Trąmpczyńskiego notaryalnego protokółu.

Ze sprawozdania za rok 1909 podajemy co następuje:

Szczegółowe cyfry przedłożonego rachunku zysków i strat, jak również ogólny wynik czynności za rok 1909 świadczą, że interesa Westy rozwijają się stale pomyślnie, a stan Banku majątkowo się wzmaga. Mianowicie przyczynił się rok ubiegły do znacznego przyrostu stanu zabezpieczeń, który w roku obrachunkowym o wiele był większy jak w roku poprzednim.

Czysty zysk roku obrachunkowego wynosi mrk. 72 689.16.

Przewyżka ta pozwala Radzie Nadzorczej i Dyrekcyi proponować Walnemu Zebraniu udzielenie członkom zabezpieczonym 18 proc. dywidendy od pełnej składki rocznej, wobec 17 proc. w roku zeszłym.

Właściciele certyfikatów otrzymają 4 proc. od czystego zysku odpowiednio do § 27 b statutu, które stanowić będą 15 proc. od wartości kuponu.

Od początku istnienia aż do roku 1909 wypłaciła Westa w ogólności

1. po członkach zmarłych w 2424 wypadkach mrk. 4 695 813.14.

2. na polisy za życia członków płatne w 449 wypadkach mrk. 924 918.02, ogółem w 2873 wypadkach mrk. 5 520 731.16.

Przypadające na rok 1909 **dochody ze składek** wynosiły mrk. 541 819.67 w stosunku do mrk. 483 049.82 w roku zeszłym.

Dochód z procentów, oraz czynszu z własnego domu wynosi! mrk. 180 638.89 w stosunku do mrk. 175 142.68 roku 1908.

Ogólna rezerwa składkowa wynosiła na końcu roku 1909 mrk. 3 984 702,04.

Cały majątek (aktywa) towarzystwa wynosił na końcu roku 1909 — mrk. 4 466 735,21.

W końcu komunikujemy, że dla uprzystępnienia zabezpieczenia życia szerszym kołom naszego społeczeństwa wprowadziła Westa z dniem 1-go stycznia 1910 **ubezpieczenie kasy pogrzebowej** wraz z zabezpieczeniem starości i posagu **bez rewizyi lekarskiej, a z udziałem w dywidendzie.** W ubezpieczeniu ten zabezpieczyć się można od 100 do 1000 marek. Przysługują zaś temu zabezpieczeniu prawie te same korzyści, jakie posiada zwykłe zabezpieczenie życiowe z rewizyą lekarską, co niewątpliwie do rozszerzenia tego działu zabezpieczenia bardzo się przyczyni.

Ze sprzedaży kart gratulacyjnych i kondolencyjnych, zastępujących telegramy, wpłynęło w dalszym ciągu do kasy za pośrednictwem skarbnika p. Czecha Kusztelana razem mrk. 36,00.

— **Towarzystwo Śpiewu „Halka“ w Jeżycach.** Celem ćwiczenia hymnów na procesye Bożego Ciała odbędzie się lekcya śpiewu w przyszły poniedziałek dnia 23-go b m. o godź 8¾ w lokalu p. Marcinkowskiego ul. Kościelna 4, a wspólna próba z Kołem Poznańskiem, Harmonią z Łazarza i orkiestrą w środę dnia 25-go maja w Domu Katolickim Św. Marcin 69. Spodziewamy się, że wszyscy Druhowie staną jak jeden mąż, ażeby przyczynić się do dobrego wykonania śpiewu tego na chwałę Bożą.

Przy tej sposobności komunikuiemy uprzejmie, że w przyszłą niedzielę dnia 22-go b. m. odbędzie się familijna wycieczka do Kobylepola. Punkt zborny: o godz. 1-szej w południe przy kościele św. Jana. Szanownych członków prosimy o jak najliczniejsze przybycie z rodzinami. Do widzenia!

CZEŚĆ PIEŚNI:

Zarząd Towarzystwa Spiewu „Halka“ w Jeżycach.

Ks. Chojnacki, prezes. **Wl J. Samoliński**, sekretarz.

Nekrologia.

† **Ś. p. Marya z hrabiów Stadnickich Henrykowa Mańkowska** z Winnogóry, zakończyła żywot doczesny w Krakowie dnia 11-go b. m. Pogrzeb odbył się w Winnogórze dnia 17-go b. m. Rodzinie ciężko dotkniętej ciosem tym bolesnym, a niespodziewanym zasyłamy wyrazy najgłębszego współczucia. — **Ś. p. Aniela Olejniczak**, dnia 11-go b. m. w Gostyniu. — **Ś. p. Józef Bąkowski**, dzierżawca Sławia i Szczepankowa pod Poznaniem, dnia 11-go b. m. w Sławiu, przeżywszy lat 57. — **Ś. p. z Rosińskich Walentyna Zeylandowa**, dnia 13-go b. m. w Poznaniu w 34-tym roku życia. — **Ś. p. Józef Noskowicz**, ojciec redaktora „Przyjaciela Ludu“ p. Mieczysława Noskowicza, dnia 12-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 55. — **Ś. p. Kazimierz Kucharski**, były dziedzic Niedźwiedzia (Prusy Zach.), dnia 13-go b. m. w Poznaniu, w 68-mym roku życia. — **Ś. p. Wawrzyn Goliwąs**, dnia 14-go b. m. w Lechowie (powiat inowrocławski) w 39-tym roku życia. — **Ś. p. Bronisława Bątkiewicz I-o voto Kutzner**, dnia 12-go b. m. w Poniecu. — **Ś. p. Antonina Ratkowska**, dnia 14-go b. m. w Chełmży (Prusy Zach.) w 76-tym roku życia. — **Ś. p. Maciej Anioła**, dnia 16-go b. m. w Palędziu, przeżywszy lat 70. — **Ś. p. Nikodem Cierniak**, cukiernik, dnia 14-go b. m. w Poznaniu w 27-mym roku życia. — **Ś. p. z Prądzyńskich Walerya Echaustowa**, dnia 15-go b. m. w Poznaniu w 39-tym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 19-go b. m. w Gnieźnie — **Ś. p. Stanisława Wilkońska**, dnia 14-go b. m. w Poznaniu w 68-mym roku życia. — **Ś. p. z Smolińskich Magdalena Kiesling**, dnia 14-go b. m. w Poznaniu, w 58-mym roku życia. — **Ś. p. Jadwiga z Bojanowskich Błociszewka**, dnia 14-go b. m. w Wiesbaden w 56-tym roku życia. — Pogrzeb odbył się dnia 19-go b. m. w Skarboszewie pod Strzałkowem. — **Ś. p. Magdalena Budasz z domu Malewska**, matka fotografa-amatora p. W. Budasza, którego fotografie zamieszczamy w „Pracy,“ dnia 6-go b. m. w Czeszewie pod Miłosławiem, przeżywszy lat 56. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Kazimierzowi S. w W.** — 1) Wyrażenie „udar serca“ jest zupełnie polskie i poprawniejsze aniżeli „atak apoplektyczny“. 2) Co do wyrażenia „na każdy sposób“ jest ono germanizmem, po polsku powinno brzmieć „w każdym razie.“

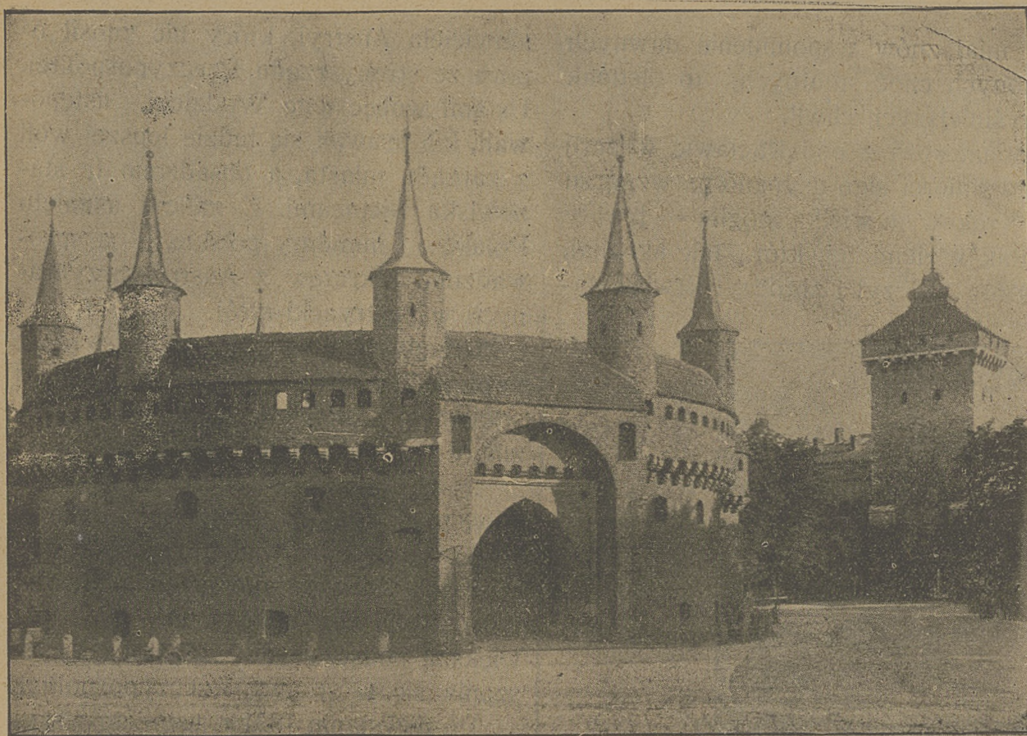
— **Pani Maryi K.** — Żadna z redakcyi, więc i nasza nie jest kompetentną do wypowiedzenia zdania: kto jest najlepszym z poznańskich lekarzy chorób wewnętrznych.

— **Autorowi „Wyznania.“** — Wspaniałe wiersze dwudziesto-zgłoskowe!.... Rymy jak „obrusem“ — „całusem,“ i „zgasła“ — „trzasła“ imponujące! Kosz!

— **Panu Bartłomiejowi U. w M.** — Trzeba nam było przysłać korespondencyę wiadomą równocześnie kiedy była posłaną do innych gazet. Przedrukowywać nie będziemy.

— **Panu Wojciechowi S. na prowincyi.** — Pijackie awantury i bijatyki opisywać rzecz zbyteczna. Stare to dzieje, jak świat, że wódka jest największym zbrodniarzem.

— **Wieleb. Ks. ... w O.** — Racya!



Rondel w Krakowie.

DZIEJE KRAKOWA.

W tysiąclecie istnienia.

Napisał **A. Warcholik.**

(Dokończenie.)

Tymczasem trzy sąsiednie mocarstwa zamknęły dzieje Polski układem trzeciego i ostatniego rozbioru. Polska jako państwo przestała istnieć, Kraków przestał być stolicą.

Smutne czasy teraz nastały dla miasta. Jeszcze przed rozbiorem Polski po bitwie pod Szczekocinami zajęli miasto prawie bez oporu Prusacy. Wtedy to wyniesiono resztę bogactw i szczątków wspaniałej przeszłości Krakowa i zamku królewskiego.

Po ostatnim podziale Polski przypadł Kraków Austryi, która zaraz zaprowadziła tu swe rządy, jednak nie na długo, bo już w kilka miesięcy na ziemi włoskiej resztki wojska polskiego i ostatni obrońcy niepodległości Polski sformowawszy hufce, zanucili pieśń wolności i poszli w bój wraz z zwycięzkiemi orłami francuskiemi wierząc, że te kiedyś i Polsce swobodę przywrócą.

I wierzenia tych wiarusów polskich, co w imię sprawy polskiej przelewali krew we wszystkich częściach świata, zaczęły się powoli ziszczać.

Wielki cesarz Francuzów Napoleon pobiwszy w szeregu bitw Prusy, wszedł ze zwycięzką armią do ziem polskich. Następstwem tego było utworzenie Księstwa Warszawskiego z ziem polskich odebranych Prusom.

W dwa lata później ruszył Napoleon przeciw drugiemu państwu, które brało udział w rozbiorze Polski t. j. przeciw Austryi. Ta postawiła wtedy trzy armie, a jedną z nich wysłała pod wodzą Ferdynanda D'Este przeciw Księstwu Warszawskiemu. Na polach Raszyna wstrzymał książe Józef Poniatowski pochód trzykroć silniejszego nieprzyjaciela. Na mocy jednak układów widząc, że dalsza obrona niemożliwą, oddał Poniatowski Austryakom Warszawę — a sam na czele armii polskiej podążył do ziem, które Austrya w rozbiorach Polski zajęła.

Radość i jakieś dziwne ożywienie owładnęło mieszkańców Galicyi na widok dawno niewidzianych znaków wojska polskiego.

Prawie bez oporu zajęto całą Galicyę i podstąpiono pod Kraków, który po małej utarczce wydali Austryacy Polakom. Na czele wojska polskiego wkroczył książe Józef bramą Floryańską do starodawnej stolicy Polski, wśród bicia dzwonów i radosnych okrzyków mieszkańców, — gdy równocześnie armia rosyjska wtedy z Napoleonem sprzymierzona, a krok w krok postępująca za wojskiem polskiem, uprzedzona przez Austryaków o poddaniu się Krakowa, równocześnie do miasta wejść usiłowała. Na szczęście stanowczość księcia Józefa, który zagroził dowódcy moskiewskiemu użyciem siły zbrojnej, sprawiły, że Kraków został w rękach polskich.

Kraków wspominał znów minione wielkie chwile i promieniał cały weselem i radością. Domy ozdobione zielenią i barwami narodowemi, wieczorem zajaśniały setkami świateł.

Uroczystości wojskowe i kościelne, wreszcie wspaniały bal w Sukiennicach wydany ku uczczeniu ks. Józefa, — i uroczyste przedstawienie w teatrze, — wypełniały pierwsze dni radości. A gdy następnego roku Wielki Książe Warszawski, a król saski Fryderyk August, potomek królów polskich przybył do Krakowa, — zdawało się, że powróciły już w zupełności dawne świetne czasy Polski i Krakowa.

Jak ongiś w bramie Floryańskiej witała nowego władcę Polski odrodzonej rada miejska wręczając klucze — grodu podwawelskiego, — a dalej reprezentacye mieszczaństwa z chorągwiami i sztandarami swojemi, wreszcie załoga Krakowska, rząd polski z ministrami, duchowieństwo, instytucye miejscowe, wreszcie niezliczone tłumy ludu, zapełniające ulice i rynek, wznosząc ustawicznie gromkie okrzyki.

Przez kilka dni zwiedzał Kraków Fryderyk August, witany i przyjmowany wszędzie z oznakami radości i hołdu.

Jednak niedługo trwały dni szczęścia i swobody Krakowa. Po pogromie Napoleona w Rosyi, a następnie pokonaniu go pod Lipskiem, na kongresie wiedeńskim utworzono z Księstwa Warszawskiego Królestwo Polskie pod berłem carów rosyjskich. Księstwo Poznańskie przyłączono do Prus, — a z Krakowa i okolicy na lewym brzegu Wisły utworzono Rzeczpospolitą, zostająca pod opieką wszystkich trzech mocarstw zaborczych, które wykonywały ją przez swych przedstawicieli mieszkających w Krakowie.

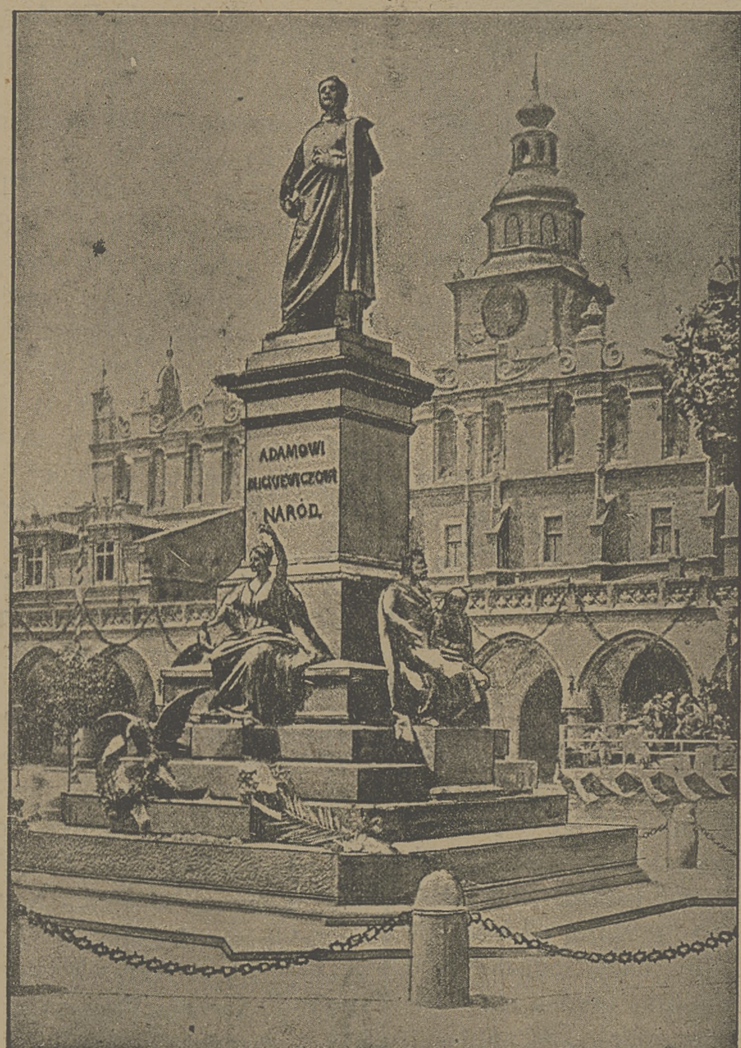
W tem państewku sprawował rządy senat z prezydentem na czele, oraz sejm złożony z 30 członków. Siłę zbrojną tego państewka tworzyło 500 milicyi miejskiej i 50 żandarmów konnych, sformowanych na wzór wojska polskiego.

Pierwsze lata po kongresie były jeszcze wcale pomyślne dla Krakowa. Pierwszym prezesem został Stanisław hr. Wodzicki, senator Królestwa Polskiego, członek poważany, z którym rezydenci trzech państw liczyć się musieli.

Otwarty w 1816 r. sejm obradował w sali gmachu Nowodworskiego, jako władza prawodawcza i rządząca.

Miasto zaczęło po licznych przejściach podnosić się powoli i wzrastać w zasobność. Przedewszystkiem starano się zatrzeć wszystkie ślady spustoszeń i zniszczenia. Odnowiono pustką stojący i przez lokowanie wojsk w czasie

zawieruchy napoleońskiej zniszczony zamek królewski, — za daleko posunięto się z oczyszczeniem miasta z gruzów, burząc piękne baszty i mury obronne w okół śródmieście okalające, rozebrano też wiele kościołów i innych budynków, jak ratusz, — przez co zaginęła dawniejsza postać Krakowa, a z nią zaginął szereg pięknych budowli, które i dziś byłyby ozdobą miasta.

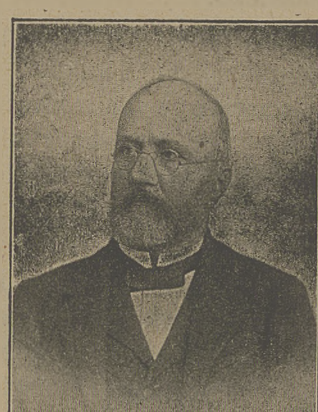


Pomnik Adama Mickiewicza w Krakowie na rynku.

W dalszym ciągu pracy nad rozwojem miasta założono plantacye miejskie, i szereg towarzystw, — jak Tow. Naukowe. Tow. muzyki, rolnicze, — Tow. dobroczynności. W tym czasie był Kraków świadkiem dwóch pięknych, choć smutnych uroczystości: pogrzebu Kościuszki zmarłego w 1817 r. zdala od ojczyzny w Solurze w Szwajcaryi, oraz pogrzebu ks. Józefa Poniatowskiego, który zginął w nurtach Elstery osłaniając odwrót wojsk Napoleońskich po bitwie pod Lipskiem w 1813 r. Obaj bohaterzy ostatnich walk o wolność Polski, to ścisle związani z dziejami Krakowa — wracali na łono tej ojczyzny, o którą walczyli, to też niósł im ostatni hołd pożegnalny ten gród, który tylko królom i władcom swym hołdy składał, — a wieczny odpoczynek dał im królewski Wawel. Pogrzeby oba uświetnili przedstawiciele całej Polski, — a Kraków miał znów wspomnienie dawnych minionych choć smutnych, to jednak pomyślniejszych chwil.

Bohaterowi z pod Racławic w parę lat po śmierci jego usypano na wzgórzu pod Krakowem wielką mogiłę — trwały pomnik z ziemi tej, którą tak ukochał, za którą walczył i zbroczył krwią własną pod Maciejowicami. Oto chwile przebłysku wolności i swobody w życiu Krakowa.

Upadek powstania w 1831 r. w Królestwie Polskiem zmienił do gruntu warunki istnienia Rzeczypospolitej.



Ś. p. prof. dr. Henryk Jordan,
założyciel t. zw. Parku Jordana w Krakowie.

Właściwie rządy spoczywały w rękach rezydentów, a właściwie przedstawiciela Austryi, który nie znosił oporu ze strony rządu Rzeczypospolitej. Ustąpił wobec tego Wodzicki, ustępowali, lub usuwali się ludzie lepszej woli z zarządu miasta, a obsadzono te stanowiska Niemcami. Z milicyi usunięto Polaków i mundury polskie, — a sprowadzono rekrutów z Austryi przybranych w austryacki strój.

Urzędy obalano i tworzono według swej woli, a urząd dyrektora policyi sprawował osławionej pamięci Gutt, znany pod nazwiskiem „Kata dzieci".

Rząd austryacki chcąc zająć Kraków, przy pomocy swego rezydenta w Krakowie przedstawiał po pismach niemieckich Kraków jako jaskinię rewolucyonistów i zbrodniarzy, aby mieć tem większą podstawę do wglądania i mieszania się w sprawy Rzeczypospolitej.

Po powstaniu 1821 r. usunięto wszystkich wygnańców z Królestwa Polskiego. Wreszcie sposobność do zajęcia Krakowa nadarzyła się w 1846 r., kiedy to usiłowano wznowić powstanie w Galicyi.

Niedokładnie powiadomione o powstaniu władze austryackie na pierwszą wieść o mającem wybuchnąć powstaniu opuściły wraz z milicyą i załogą austryacką na zamku stojącą miasto, w którem zorganizował się natychmiast rząd narodowy, pod przewodnictwem dyktatora Tyssowskiego. Jednak powstanie wskutek wywołania przez rząd austryacki rzezi w Galicyi nie udało się, powstańcy polscy zdołali rozgromić tylko drobne oddziały załogi austryackiej w Krzeszowicach, Jaworznie, oraz wywołali ruch powstańczy wśród górników w Wieliczce.

Gdy na wieść o zbliżaniu się do Krakowa rozszalałych band chłopskich, spojonych wódką i przepłaconych przez starostów, — wyszła z miasta ku Podgórzowi procesya, — jenerałowie austryaccy, Kolin z jednej strony oraz Benedek z drugiej, natarli na bezbronnych na Krzemionkach. „Kto nie padł od kuli i kartaczów, jakimi zarzucono procesyę — zginął w ucieczce w nurtach Wisły".

Na wieść o tem rząd narodowy wraz z wojskiem opuścił Kraków, nie chcąc narażać go na bombardowanie i zwróciwszy się pochodem ku granicy pruskiej, przeszedł ją, złożywszy broń. W parę dni weszło wojsko rosyjskie, austryackie i pruskie.

Rozpoczęły się znów rządy wojenne, rewizye, aresztowania, sądy i wyroki. Wreszcie po dokonaniu faktycznego zajęcia Krakowa przez Austryę — wojska rosyjskie i pruskie opuściły miasto, zaś austryackie ulokowały się na Wawelu. Wtedy dopełniono reszty zni-

szczenia zamku wawelskiego. Bardzo szczegółowo opisuje Ambroży Grabowski, obywatel krakowski, w swych pamiętnikach zniszczenie Wawelu. Wywaloną wspaniałe odrzwia i obramowania okien, — usuwano filary, i ozdoby marmurowe i ornamentacye z sal królewskich.

Cenniejsze rzeczy wywieziono do Wiednia i pałaców carskich, rzeczy pomniejszej wartości porzucono na dziedzińcu, — a później zużyto do budowy koszarowych budynków.

Z początku utworzono z zachodniej Galicyi z siedzibą w Krakowie osobne gubernie, jednak na prośby obywateli polskich zniesiono je, — a Kraków stał się tylko miastem prowincyonalnem.

Były to znów czasy klęsk i upadku miasta. Ręka nowego rządu zaciężyła na mieszkańcach Krakowa, — ucisk, jaki w całym państwie panował, dawał się odczuwać silnie i w Krakowie, nic też dziwnego, że pod wrażeniem tych nieszczęść rok 1848 nie odbił się w Krakowie tak żywem echem jak w innych miastach. Co prawda i Kraków zaznał bombardowania, gdy mieszczaństwo zaczęło gromadzić się w rynku i na ulicach miasta, ale cały ten ruch rewolucyjny ograniczył się tylko na kilku wystrzałach padłych z okien, lub dachów kamienic. Wreszcie na interwencyę A. Potockiego i naszych przedstawicieli mieszkańców uzyskano spokój.

W następnym roku przechodziło przez Kraków na stłumienie powstania na Węgrzech wojsko rosyjskie, które nie mało szkód i kłopotów wyrządziło mieszkańcom. — Tegoż roku zaprowadzono stan oblężenia w całej Galicyi, — znów odbyły się rewizye, aresztowania i sądy doraźne. —

Rozmiarów złego dopełnił pożar Krakowa w 1850 r., — który pochłonął najpiękniejszą część miasta t. j. ulicę Grodzką — oraz sąsiednie aż po Rynek i ulicę Poselską.

Wreszcie w 1863 r. Kraków był punktem zbornym powstania. Stąd szły szeregi młodzieży ku granicy rosyjskiej, stąd wysyłano broń, odezwy, amunicyę itp. tu wreszcie wracały niedobitki, ranni szukając pomocy i schronienia. Rząd austryacki jakkolwiek z początku względem powstania dość przychylnie się zachowywał — później nieprzyjaźnie zaczął się odnosić i wszelkie oznaki łączności z powstaniem surowo karał.

Przeszły wreszcie burze.

Dzięki zaprowadzonej konstytucyi w samorządzie miast, Kraków nieco odetchnął. Pierwszym burmistrzem został wybrany Dr. Dietl, człowiek niezwykle zapobiegliwy i energiczny, któremu Kraków wiele zawdzięcza.

Jemu zawdzięcza dawna Akademia Jagiellońska przywrócenie utraconych praw i świetności, jemu miasto podniesienie ekonomiczne.

W 1869 r. odbył się uroczysty pogrzeb znalezionych prochów Kazimierza Wielkiego, — a w 1872 odbyło się uroczyste otwarcie Akademii umiejętności, najwyższej i jedynej instytucyi naukowej w Polsce. W 1879 r. obchodził Kraków, a zarazem Polska cała uuroczysty jubileusz ku uczczeniu pracy pisarskiej Kraszewskiego w odnowionych Sukiennicach.

Za drugiego prezydenta miasta dra Zyblikiewcicza miasto dalej odradzało się ekonomicznie i narodowo.



Posąg Lilli Wenedy na plantach w Krakowie.

Powstało w r. 1885 Muzeum Narodowe, dziś jedna z najpiękniejszych instytucyj, w których złożone są nasze skarby i pamiątki przeszłości.

Dzięki inicyatywie i zapobiegliwości dra Jordana powstał ogród zabaw dla młodzieży, mogący być wzorem wielu wielkich miast zachodu.

Wreszcie w 1891 r. prowadził naród na Wawel przez te same ulice Krakowa, któremi prowadzono zwłoki królów polskich, we wspaniałym pochodzie pogrzebowym zwłoki „króla pieśni polskiej“ Adama Mickiewicza.

Rok jubileuszowy tysiącletniego istnienia Krakowa przyniesie dwa ważne momenty w życiu jego. Jednem z nich to przyłączenie dalszych przedmieść okolicznych do Krakowa, przez co zyskuje Kraków nietylko na obszarze i ludności, ale przedewszystkiem zapewnia sobie w przyszłości rozwój.

Wreszcie po latach upadku i zniszczenia w jubileuszowym roku tysiąclecia Krakowa zejdzie z Wawelskiego zamku ostatni żołdak, — z nim i to gryzące upokorzenie, na jakie przez pół wieku z góry musieli patrzeć mieszkańcy Krakowa, — których przodkowie widzieli mury tej wspaniałej budowli otoczone blaskiem majestatu i przepychu.

Dziś Kraków jest nadal stolicą duchową Polski. Tu ściągają rokrocznie tysiączne tłumy pielgrzymów ze wszystkich stron ziem naszych oddać hołd i pokłon prochom królów naszych i wielkich bohaterów, na Wawelu spoczywających. Tu zbiegają rzesze rozniecić zarzewie miłości do wielkiej i jasnej przeszłości, a zaczerpać siły do dalszej walki szarej a twardej, — napełnić nadwątlone serca wiarą w przyszłość. To też nie dziw, że oczy całej Polski, całego społeczeństwa naszego zwracają się ku Krakowu, ku temu sercu Polski, — on jedyny pośród miast polskich doznaje szczególniejszej pieczy i uznania. Tu na skale Wawelskiej składa naród, gdy nie stało królów państwa, — królów Ducha polskiego i wieszczów, — tu gromadzi największe zabytki i skarby wiedzy narodowej, — tu wreszcie skupiają się najwyższe instytucye kulturalne, które na Polskę całą promienieją.

Papież Mikołaj V.

1447—1455.

Poniżej podajemy krótką monografi papieża Mikołaja V., zestawioną z kilku ustępów. wyjętych z dzieła Kazimierza Chłędowskiego: Rzym, ludzie odrodzenia. Lwów. Nakład księgarni W. Altenberga 1909 Cena 20 mk.

Eugeniusz IV. umarł 23-go lutego 1447; żałowali go Franciszkanie Obserwanci, dla humanistów był jego zgon dość obojętny. Gdy zaś ze zwołanego 4-go marca conclave wyszedł jako papież Mikołaj V., ów Parentucelli, dawny sekretarz kardynała Albergatiego, któregośmy poznali we Florencyi, to radość nie do opisania zapanowała w całej rzeczypospolitej uczonych. Wszak większość humanistów zostawała z nim od dawna w bliższych stosunkach, a nawet w przyjaźni, każdy więc z literatów marzył o tem, że dostanie jakiś urząd przy Kuryi rzymskiej albo przynajmniej beneficyum.

Mikołaj V. był dopiero od trzech

lat biskupem, a od sześciu miesięcy kardynałem, a gdy mu się w nocy przed conclave śniło, że został papieżem, tak się z rana roześmiał z tej mrzonki, że towarzyszący mu duchowny spytał go, z czego się tak śmieje. Parentucelli odpowiedział, że mu się śniło, iż zostanie papieżem, on, sześciomiesięczny kardynał, człowiek pochodzący z ubogiej rodziny. Od dawna bywało w zwyczaju, że każdy z kardynałów kazał ubierać swoją celę podczas conclave w odmienną barwę; były więc cele czerwone, zielone, fioletowe i inne, jeden tylko Parentucelli pozostawił biały pokój, co jak pisał Pius II., odpowiadało czystej duszy kardynała. Conclave trwało dziwnie krótko, szóstego marca już wyszedł z urny Parentucelli. Położył on w ostatnim właśnie roku wielkie zasługi około Kościoła, wysłany bowiem przez Eugeniusza IV. w celach politycznych do Francyi i Niemiec, okazał nadzwyczajne dyplomatyczne zdolności, przyczyniając się do rozbicia związku kurfirstów, bardzo niebezpiecznego dla Stolicy Apostolskiej.

Wybór kardynała bolońskiego zadowolnił wszystkich, wiedziano bowiem, że nowy papież będzie dążył do utrzymania pokoju. Postać jego była wprawdzie niepokaźna, ale wielka prostota w obejściu i niezwykła żywość usposobienia czyniły go bardzo sympatycznym. Nizkiego wzrostu, szczupły, prawie brzydki, chorowity, wskutek czego blady na twarzy, raził dużemi wargami, nie mógł też na zewnątrz takiego sprawiać wrażenia, jak poważny, wspaniały mnich Eugeniusz IV., albo jak późniejszy Paweł II., „najpiękniejszy z papieży.“ Lud rzymski, uważający na pozory, nie bardzo był zachwycony, gdy zobaczył nizką postać Mikołaja V. wyjeżdżającego z conclave według dawnego zwyczaju na białym koniu, ale w oczach nowego papieża pełnych żaru przebijała bystrość umysłu, połączona z dobrocią. Czasami oczy te zapłonęły gniewem; Parentucelli łatwo się unosił, ale w ciągu życia nauczył się panować nad sobą. Zostawszy papieżem, miał lat pięćdziesiąt, czuł się dość silnym do pracy, a działalność jego piękną być miała.

. . . .

Zaczął od tego swoje panowanie, że stał się dla każdego przystępnym. Dawał co piątku publiczne posłuchania, na które się gromadziło mnóstwo ludzi różnych stanów. Jednym z pierwszych, którzy przybyli do Rzymu, aby Mikołajowi V. wyrazić swoją radość z powodu jego wyniesienia na Stolicę Apostolską, był Vespasiano da Bisticci. O siódmej wieczorem, godzinie posłuchań, wszedł florentyński księgarz do sali, gdzie się zgromadzali petenci, a skoro go papież spostrzegł, głośno się z nim przywitał i kazał mu poczekać, gdyż chce z nim pomówić na osobności. Po chwili oznajmiono mu, że go papież przyjmie. Bisticci pospieszył więc do sali posłuchań, ukląkł przed papieżem i ucałował mu stopy według zwyczaju; ale Mikołaj V. kazał mu wstać i zaprowadził go do jednego z dalszych pokoi, gdzie z nim usiadł koło drzwi, wychodzących na ogrodową terasę. Mikołaj nie lubił, aby przed nim stano, a jeżeli z kim chciał dłużej mówić, chwytał go za ramię i kazał usiąść przy sobie. Gdy teraz znalazł się z Bisticcim bez świadków, uśmiechając się powiedział: „Mój Wespazyanie, czy też przyszło na myśl Florentyńczykom, aby ten biedny klecha, który niegdyś sam musiał dzwonić w kościele, został wkrótce papieżem?“ Bisticci znalazł zręczną odpowiedź na to przyjacielskie zapytanie, dając wyraz powszechnemu przekonaniu, że tylko wielkie cnoty wyniosły tak wysoko owego ubogiego księdza, który z pewnością przywróci pokój krajowi znękanemu wojnami. Papież zapewnił go wtedy, że nie mieczem, ale krzyżem będzie wojował, i zwrócił rozmowę na inny przedmiot, na spłacenie długu wdzięczności wobec Medyceuszów, który mu ciężył na sercu.

Dług to był niedawny. Gdy Eugeniusz IV. wysłał Parentucellego jako biskupa bolońskiego do Francyi i Niemiec w celach dyplomatycznych, dał mu obszerną instrukcyę, ale mało pieniędzy na drogę. Sam zaś poseł nie miał funduszów, albowiem owo biskupstwo bolońskie wtedy nic nie przynosiło. Zafrasowany Parentucelli przyjechał do Florencyi, a po naradzie z Bisticcim udał się przez niego do Cosima Medyceusza, który na wszystkie dobre cele miał otwartą rękę, czyby mu nie pożyczył jakich stu dukatów na ową wyprawę. Cosimo ani chwili się nie zawahał, ale zawołał zaraz swego kasyera i kazał dać bolońskiemu biskupowi list do swoich korespondentów zagranicznych, aby mu wypłacili kwoty, jakich tylko będzie potrzebował. Biskup żądał w drodze bardzo niewiele, dwieście florenów, ale gdy wracał na Florencyę do Rzymu, znów mu pieniędzy zabrakło. Więc i tym razem Bisticci musiał iść do Cosima.

Otóż to były długi wdzięczności, które Mikołaj V. chciał spłacić. A spłacił je sowicie, kazał bowiem Bisticciemu oznajmić Medyceuszom, że od jutra powierza ich bankowi interesa depozytowe Stolicy Apostolskiej i mianuje ich głównymi swymi bankierami. Przyszłość okazała, że ta nominacya nie lada jakim była podarunkiem, podczas samego bowiem jubileuszu z r. 1450 złożyła Kamera papieska u Medyceuszów olbrzymią na owe czasy sumę stu tysięcy florenów.

Papież rad był jeszcze i w inny sposób okazać swą sympatyę Florencyi, a ponieważ właśnie przyjechało stamtąd poselstwo, które mu chciało złożyć życzenia, więc oświadczył Bisticciemu, że Florentyńczyków przyjmie na publicznym konsystorzu z takimi honorami, z jakimi się wita cesarza i królów. Pragnął także Mikołaj samemu Bisticciemu wyświadczyć jakąś przysługę, ale skromny księgarz niczego nie żądał, żyjąc bowiem z pracy, był, jak się wyraża „niedoświadczonym w proszeniu.“ Ponieważ rozmowa długo się przeciągnęła i późna już była godzina, prosił Mikołaj swego gościa, aby został na wieczerzy i przenocował w pokoju, przytykającym do papieskiej sypialni; usprawiedliwiał się tylko, że łóżko będzie niewygodne, gdyż ludek rzymski zrabował według zwyczaju całe mieszkanie po śmierci Eugeniusza i trzeba było wyżebrać łóżka i pościel od kardynałów, aby się jako tako na razie urządzić.

Nazajutrz przyjął papież, jak zapowiedział, Florentyńczyków na publicznym konsystorzu, a w poselstwie znajdowali się znakomici ludzie, jak Giannozzo Pitti, Piero di Cosimo de Medici i Giannozzo Manetti. Bisticci pisze, że poselstwo przepysznie wyglądało, „chè fu cosa mirabile.“ Członkowie deputacyi przybyli w sto dwadzieścia koni, wszyscy jednako ubrani, a gdy weszli do sali, wzbudzili powszechny podziw. Messer Giannozzo Manetti miał do papieża przemowę, która trwała trochę długo, bo aż pięć kwadransów. Mikołaj V. słuchał jej z przymrużonemi oczyma, tak iż jednemu z kardynałów, którzy obok niego siedzieli, zdawało się, że papież zasnął, więc trącił go z lekka łokciem, aby się obudził. Nie było to wszakże potrzebnem, albowiem papież słuchał całej mowy z natężoną uwagą, a gdy Manetti skończył, odpowiedział mu tak pięknie, iż wszystkich zadziwił. Mikołaj V. był bardzo wymownym, głos miał dźwięczny i poważny, a zdania z taką łatwością z ust mu płynęły, jak gdyby nie potrzebował się nad niemi zastanawiać. Wówczas nie można było wypowiedzieć pięknej mowy, nie przytaczając zdań starożyt-

tnych autorów; papieżowi nie sprawiało to jednak trudności, gdyż miał niezwykłą pamięć i mało było klasycznych greckich lub łacińskich pisarzy, którychby nie był przeczytał dokładnie, a całą biblię, jak powiada Bisticci, „miał w głowie“. Wogóle wskutek rozmaitych kolei, jakie w życiu przechodził, wskutek obcowania z ludźmi wyższych i niższych stanów, nabrał tyle przeróżnych wiadomości, że z każdym umiał tak rozmawiać, jak gdyby się wśród jego zajęć wychował. A dowiadywał się od ludzi dużo, gdyż nienawidząc wszelkich nieszczerości, wzbudzał zaufanie. Zadziwiał też swemi wiadomościami, którychby nikt u niego nie przypuszczał; był n. p. tak biegłym w naukach medycznych, że leczył nieraz swego dawnego kardynała Albergatiego; pomiędzy bibliografami taką stał się powagą, że Cosimo de Medici urządzając bibliotekę w S. Marco, prosił go o radę. z jakich dzieł publiczny księgozbiór składać się powinien. Szczególne zamiłowanie miał do architektury i nieraz mawiał jeszcze za młodych czasów, że gdyby mógł, toby tylko budował i książki skupował. Tej namiętności mógł jako papież dogodzić.

. . . .

Oprócz tłómaczy miał papież cały legion kopistów, po większej części Francuzów i Niemców, którzy musieli pomnażać rzadsze rękopisy. Do prac, wymagających pilności, a nawet do osobistych usług chętnie używał obcych, mawiał bowiem, że Włosi nie są zadowoleni z tego, co mają, zawsze czegoś więcej pragną, są więc i złymi sługami. Mikołaj był zapalonym bibliomanem; każdy nowy rękopis go cieszył, kazał go pięknie oprawić, swój herb na nim wybić i często spędzał całe godziny wśród szaf z książkami, trochę czytając, — ale więcej jeszcze układając piękne foliały, radując się widokiem tych z wielkim mozołem i kosztem zebranych skarbów. Osobliwie chodziło mu o to, aby bardzo niedokładnie jeszcze znany skarb greckiej wiedzy jak najbardziej powiększyć, przelać go w kulturę łacińską i w ten sposób wszczepić w nią nowe soki żywotne. Im bardziej poznawano grecką literaturę, tem więcej przekonywano się, że literatura łacińska na niej się kształciła i że filozoficzna myśl rzymska w Grecyi miała swój początek. Gorączkowo też starał się papież o wyszukiwanie nieznanych jeszcze dzieł greckich, rozsyłał swoich ajentów po wszystkich krajach, a nawet jednego z nich, Enocha z Ascoli, wyprawił na kilka lat na Północ, do Danii i Szwecyi, aby tylko ratować, co się jeszcze ze starożytnych pisarzy uratować dało. W ten sposób doszedł Mikołaj V. do księgozbioru wynoszącego, jak Pastor oblicza, 1160 tomów, który się stał zawiązkiem biblioteki Watykańskiej.

. . . .

Mikołaj V. nie tylko zbierał książki, ale i budował, budował dużo i nosił się z tak olbrzymimi planami, że gdyby był dłużej pożył, pozostawiłby swą stolicę godną Rzymu Cezarów. Jego następca Pius II. Piccolomini powiedział, że gdyby dzieła architektoniczne, które Mikołaj V. wznosić rozpoczął, mógł był dokończyć, toby żadne z nich nie ustępowało co do wspaniałości tym gmachom, które wznieśli imperatorowie. A w tym Rzymie, jaki papieże Odrodzenia odziedziczyli po średnich wiekach, trzeba było dużo budować i do porządku doprowadzić te łomy marmurów i te gruzy, w które miasto obrócono.

Mikołaj V. z całym zapałem i właściwą sobie systematycznością kazał odrestaurować przedewszystkiem kościoły, w których podczas wielkiego postu były stacye Męki Pańskiej; wielkich prac dokonał w S. Maria Maggiore, w S. Paolo, w S. Lorenzo fuori le mura i w mnóstwie innych kościołów, przysłużył się nadto miastu, odbudowując rzymski jeszcze wodociąg Acqua Vergine. Ale wszystkie te prace nikły wobec olbrzymiego planu przebudowania właściwej papieskiej siedziby, całego Watykanu i otaczającej go dzielnicy wraz z bazyliką św. Piotra. W architektonicznych pomysłach wspierał papieża słynny Leo Battista Alberti, a z obrad tych dwóch znakomitych ludzi wyszedł ów z powodu swych rozmiarów prawie fantastyczny projekt.

. . . .

Gdy Mikołaj V. umierał, chciał się wobec zgromadzonych kardynałów niejako usprawiedliwić z tych olbrzymich wydatków, które łożył na rozpoczęte budowy. Mówił wtedy, że na ludzi wykształconych nie potrzeba działać zewnętrznymi znakami, aby zrozumieli wielkość Kościoła, lud jednak musi widzieć tę wielkość w gmachach i w świetnych obrzędach. Ta myśl była mu przewodnią, a nie miłość zbytku, nie pycha, albo żądza sławy. Pragnął wielkości Kościoła i zabezpieczył go przed wewnętrznymi i obcymi nieprzyjaciółmi. To usprawiedliwienie leżało papieżowi tem bardziej na sercu, ponieważ niespełna na dwa lata przed jego śmiercią upadek Konstantynopola (1453) przeraził cały świat chrześcijański, a umierający Mikołaj V. przeczuwał, że odtąd wszelkie fundusze, jakimi papiestwo rozporządza, będą musiały być obracane na zabezpieczenie Włoch przed tureckim najazdem.

Paula Wężyk.

Procesya.

Zagrzmiały trąby, zagrały dzwony,
Barwne chorągwie wionęły w górze
I płyną pieśni pochwalnej tony
Aż tam, do słońca w złotej purpurze.

Bractwo za bractwem sunie orszakiem,
Goreją świece, oblicza płoną,
A pieśń im z serca wybiega ptakiem,
Drży uniesieniem, wzruszeniem łono.

Coraz się ludu rozwija wstęga,
Jak fala rzeki przybiera, rośnie
I pieśni coraz większa potęga
Głosi cześć Bogu szczerze, rozgłośnie.

Aż naraz wielka i święta chwilo!
Wszystko ucicha w wzniosłem skupieniu,
Wszystkie się głowy ku ziemi chylą,
Wszystkie się prośby zamkły w westchnieniu.

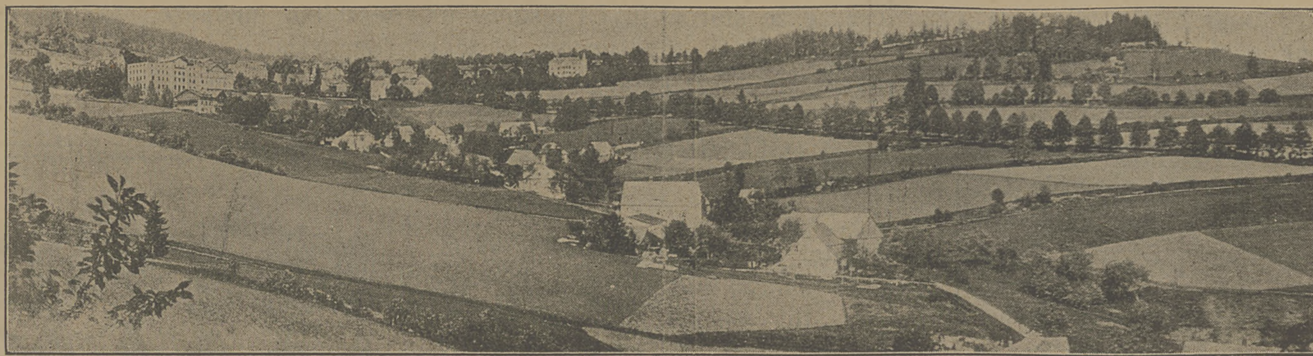
To Pan wszechświata, Bóg, Król nad króle
Śle na wsze strony błogosławieństwo:
„Ludu, mój ludu, widzę twe bóle,
Nieś krzyż cierpliwie, znoś twe męczeństwo.

Żaliś zapomniał Jezusa męki?
A czy nie pomnisz dnia zmartwychwstania?
I wam świt wzejdzie nowej jutrzenki
I dla was błyśnie światło zarania.

Nie ma tym śmierci, w których Ja żyję,
Choć już konania przyjdzie godzina,
Do życia zbudzę was przez Maryję,
Wy zwyciężycie przez Mego Syna!“

Wstrząsnęło tłumem łkanie radości.
Wietrzyk tajemnym wionie szelestem:
„Ach, czy słyszycie, Jam Bóg miłości,
Ja w waszych sercach, Ja wśród was jestem.“

Znowu zagrały trąby i dzwony,
Znów pieśń wybuchła w zdwojonej sile.
Sunie w orszaku lud pokrzepiony.
Wzmocniony Duchem na długie chwile.



Widok Gräfenberga.

U źródła zdrowia.

Skreślił
Dr. Stanisław Karwowski.

W prześlicznej okolicy austryackiego Śląska, w dolinie, poprzerzynanej wstęgami Białej i Starycy, a okolonej wysokiemi górami, z których Kepenik (1424 m.) i Hochschar (1351 m.) z jednej, Kreuzkoppe (669 m.) z drugiej, a Goldkoppe (908 m.) z trzeciej strony poważnie wznoszą się ku niebiosom, leży miasteczko Freiwaldau (6336 m.), o którem, jak o Neapolu, możnaby prawie powiedzieć: *„Un pezzo di cielo caduto in terra“*. Stąd wspinającą się stopniowo w górę, a dużemi lipami i klonami ocienioną drogą, obok wysokiej góry, na której potężny krzyż przypomina i chorym i zdrowym wszechmoc i miłosierdzie Boże, dochodzi się w niespełna pół godziny do wsławionego przez Wincentego Priessnitza, a prawdziwie uroczo położonego Gräfenberga. U stóp jego skromne rozsiadły się w południowo-zachodnim kierunku domki, odbijające przyjemnie prostotą od pięknych wil i dużych gmachów leczniczych na górze. Domki te noszą nazwę Gräfenbergskiej kolonii.

We wszystkich owych trzech, jednę stanowiących gminę miejscowościach, są miłe i drogie sercu naszemu pamiątki.

Tu przebywał po trzykroć O. Karol Antoniewicz, którego imię, jak długi i szeroki kraj nasz, każdy z czcią największą wspominać musi.

Po raz pierwszy był tu Antoniewicz 1838 r. z żoną, Zofią z Nikorowiczów. Straciwszy pięcioro dzieci i tę ukochaną żonę, wstąpił w Starejwsi do zakonu OO. Jezuitów, by odtąd żyć tylko dla Boga i z miłości ku Niemu służyć ludziom, a zwłaszcza rodakom. I tak, idąc śladem ś. Ignacego Loyoli, z żołnierza w młodości stał się żołnierzem Chrystusowym w dojrzalszym wieku.

Niezadługo otwarło mu się obszerne pole działania. Nie bacząc na własne niebezpieczeństwo, jął się pracy apostolskiej wśród wzburzonego i rozbestwionego ludu galicyjskiego, którego ręce jeszcze splamione były krwią pomordowanych ofiar i zuchwałem targnięciem się na cudzą własność, a nawet na przybytki Pańskie. Atoli mimo niezaprzeczonych błogich skutków misyonarskiej działalności O. Karol i jego bracia zakonni ani od rządu ani od społeczeństwa galicyjskiego wdzięczności nie doznali.

Po zamknięciu zakładów zakonnych udał się Antoniewicz, wzywany gorąco przez Wojciecha Morawskiego, syna referendarza Józefa i Pauliny z Łubieńskich, a męża Maryi z Grocholskich (późniejszego księdza), 1848 r. poraz wtóry do Freiwaldau, gdzie stanął 17 sierpnia i zamieszkał w domu pod nr. 20 przy ulicy Reymanna.

Przybył dotąd, jak sam pisze, rozstrojony w duszy, przygnębiony nieszczęściami, udręczony życiem bez radości, bez nadziei. „Przybyłem dotąd niewiedzieć jak i po co; chciałem uciec przed sobą samym i przed krajem, w którym pobyt był mi zanadto bolesnym, bo go zanadto kochałem. Zdaje mi się, że Bóg mnie za tę miłość karać nie będzie, a kochałem ten kraj mój może więcej niż kiedykolwiek w tej bolesnej chwili, gdy mnie odrzucił, gdy mnie z serca swego wygnał.“

W Freiwaldau przyjęli go z wielką radością pp. Wojciechostwo Morawscy „O przyjęciu u pp. Morawskich, donosił przyjacielowi wkrótce potem, nic nie piszę, bo nie byłbym nigdy w stanie wysłowić tyle dobroci... Nigdy dziecko w domu matki nie mogło doznać większej opieki.“

A jednak smutno mu było. „Jak tu jestem, tęsknię za krajem, jak stąd wrócę, tęskno mi będzie za temi poczciwemi duszami, które mnie tak bardzo ukochały, nie wiem za co.“

O kuracyi wyrażał się żartobliwie: „Przy tej kuracyi woda w sercu, woda w myśli, woda w słowie, woda w piórze i wszędzie woda i nic tylko woda, ale choć woda w sercu, to przez to nie wyziębnie, nie zdrętwieje w uczuciu, bo miłość, którą Bóg zajął w sercu, to jak kongrewska rakieta, i pod wodą się pali. Góry się kurzą, deszcz leje, wiatr zimny, błoto, szaro, mglisto, a o słońcu tu ani wspominaj! A choć czasem z za chmury zajrzy na ziemię, to jakby prosto wyszło z Sitzbadu, i blade i zimne. O! to nie to nasze polskie słońce, co jak się zaiskrzy nad Tatrami, to aż na dnie duszy jasno się zrobi.“

W listach jego z tego czasu odzywa się ciągle smutna nuta. „O! jak to ciężko żyć na cudzej ziemi, pomiędzy Niemcami, i ani polskiej nie ujrzeć sukmany — tylko zawsze te nieszczęśliwe fraki. Lepszy kawałek polskiego chleba, niż wszystkie niemieckie melszpeizy“.

Pragnienie zobaczenia polskiej sukmany z taką odezwało się siłą, że pod pozorem przywiezienia synka pani Konopczyny na kuracyą do Gräfenberga wyjechał do Tarnowa. „Chciałem trochę polskiem powietrzem odetchnąć, żeby ta niemiecka atmosfera nie udusiła biednego serca, które na polskiej ziemi bić zaczęło, dla niej zawsze bije i dla niej pracując „oby bić przestało!“

Wobec takiego przywiązania do kraju rodzinnego trudno pojąć, jak ks. Speil w biografii O. Karola Antoniewicza mógł go przedstawić jako temu krajowi obcego. O. Karol, jak z każdego jego słowa i czynu wynika, czuł się całą duszą Polakiem, chociaż przodkowie jego, od wieków osiadli w Polsce, armeńskiego byli pochodzenia.

Trudniej jeszcze pojąć, jak na tak szlachetnego i świątobliwego męża można było rzucać potwarze i oszczerstwa. W Pradze wedle własnej jego wzmianki wydrukowano cały romans o pewnym Jezuicie w Gräfenbergu, który 1848 r. struł ostatniego potomka domu Lubomirskich i wydarł mu czteromilionowy majątek! Pamflet ten wprost był wymierzony przeciwko Antoniewiczowi.

Powróciwszy z wycieczki do Tarnowa, pisał O. Karol: „Oto teraz kontynuuję kuracyą ciała i duszy przez wody Prysznica i przez ogień miłości Morawskich. O! jak mi ciężko będzie z nimi się rozłączyć.“

Wynikiem owej miłości do ludu polskiego, za którym tak tęsknił w Freiwaldau, była napisana tamże piękna książeczka p. t. „Ś. Izydor oracz,“ którą, jak się później ku wielkiej radości dowiedział, chłopi polscy z rąk sobie wyrywali. „Niewielki życiorys ś. Izydora oracza, mówi O. Badeni, wskazał, jak poprostu, a jednocześnie wzniośle i zrozumiałym, a zawsze poprawnym i szlachetnym językiem pisać dziś dla ludu przeznaczone żywoty świętych; pierwszy to był w nowszych czasach wzór w tym kierunku, pierwszy, a kto wie, czy po dziś dzień doścignięty.“

Prócz do pp. Morawskich przylgnął O. Karol do przezacnej księżnej Jadwigi z Zamoyskich Sapieżyny, małżonki księcia Leona Sapiehy, która z dwoma córkami i synem mieszkała wówczas także w Freiwaldau w domu pod nr. 131, a przylgnął tem więcej, że i ona krzyż ciężki dźwigała. Sam wyznaje, że miał matkę, którą nad życie kochał i był od niej kochany, a gdy po niej osierociał, znalazł drugą matkę — zakon — ale tę przybito do krzyża i znowu osierociał. Wtedy w owej polskiej matronie znalazł jakoby trzecią matkę, ale i tę miał wkrótce stracić, bo opuszczała Freiwaldau. „Jedź, odzywał się do niej, w tem słodkiem przeświadczeniu, żeś tak dziwnie biedne serce pocieszyła, wzmocniła i do dobrego zachęciła, serce, które nic dla was uczynić nie może, ale właśnie dla tego tem wdzięczniejszem się czuje.“

Na usilne prośby ks. Leonowej Sapieżyny napisał O. Karol pamiętnik pożycia z żoną Zofią, który nosi datę: Freiwaldau 26-go września 1848 r.

W tym czasie też, mówi O. Badeni w pięknym żywocie O. Karola, rozsyłał na wszystkie strony prześliczne listy i układał krótkie pobożne rozprawy, które stać się miały jedną z najpiękniejszych pereł ascetycznej naszej literatury. Nie wystarczał mu jednak wpływ, wywierany na kupiące się koło „swego misyonarza,“ „swego ojca“ kółko rodaków; w sercu szlachetnem, aż do zbytku delikatnem i czułem odzywał się jakby wyrzut: Jak możesz tu tak wygodnie żyć, jak możesz dozwolić, aby na niczem ci nie zbywało, kiedy zakon twój prześladowany, kiedy ojczyznę tyle nieszczęść nawiedziło?“

I opuścił Freiwaldau, aby tam, gdzie powołanie i przeznaczenie jego było, na miejscu smutku i łez modlić się i dla imienia Jezus prześladowania cierpieć. Wojciech Morawski odprowadził go do Raciborza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Adam Piotrowski.

Powstanie i rozwój polsk. związków zawod. pod zaborem pruskim.

(Ciąg dalszy).

III.

Po długich naradach wstępnych, przystąpili robotnicy polscy w Poznaniu do utworzenia własnej organizacyi zawodowej.

Dnia 16 marca 1902 urządzono w tym celu pierwszy wiec w Domu Katolickim, na który zaproszono kilku znanych działaczy towarzystw poznańsskich pp. *dra Rydlewskiego, Krausego, Lewandowskiego* i *Chociszewskiego.* Na wiecu tym, o którym zresztą, z powodu braku jakiegokolwiek sprawozdania trudno coś obszerniejszego napisać, wstąpiło około stu członków do Związku Polskiego.

Drugi wiec, o którym pisały codzienne pisma poznańskie, odbył się 13 maja tego samego roku na sali bazarowej. Jako jeden z głównych referentów występował na wymienionym wiecu redaktor „Orędownika“ śp. dr. *Roman Szymański.**)

Na wiecu tym przyszło także do ostrej polemiki z socyalistami, którzy widząc, że zakładanie związku polskiego to nie jakieś zjawisko przejściowe, że myśl ta coraz szersze zatacza kręgi, wszelkie siły wytężali, ażeby temu póki czas przeszkodzić. Nie pomogły jednak gardłowania Gajewskich, Rumińskich i im podobnych, sprawa już była nadto dojrzałą, ażeby miała upaść.

*) Dr. Roman Szymański umarł w Poznaniu 18. sierpnia 1908.

To też jednogłośnie, wyjąwszy kilka protestujących głosów socyalistycznych — przyjęto na wymienionym wiecu trzy rezolucye następującej treści:

Pierwsza: *Ażeby się robotnicy polscy nie uchylali od szerzenia oświaty ekonomicznej wśród siebie.*

Druga: *Ażeby się robotnik polski łączył w związki zawodowe, a mianowicie, ażeby wstępował do założonego niedawno Związku Polskiego.*

Trzecia: *Aby nie szukał rad i wskazówek w związkach chrześciańskich lub socyalistycznych, lecz pracując o własnych siłach choć na razie mniej skutecznie i powoli, — stale i niezmiennie trzymał się zdaleka od wpływów obcych a zatem mu wrogich.*

Pomimo wytężonej pracy nad rozszerzeniem idei związkowej, sprawa żółwim tylko krokiem postępowała. Chęć i zapał wśród robotników był wielki, lecz brak było ludzi, którzy byliby umieli ująć kierownictwo nowopowstałej organizacyi zawodowej. Nie można z tego czynić zarzutu pierwszym kierownikom, ponieważ była to praca w naszem społeczeństwie zupełnie nowa.

Z zarządu pierwszego przytoczę tych, co najgłówniejsze urzędy piastowali. Prezesem był Teodor Krause, prezes zarazem Koła Rękodzielników w Poznaniu, z którego to towarzystwa miano podobno podać myśl utworzenia własnej polskiej organizacyi, o czem jeszcze niżej pomówimy.

Teodor Krause nie był ani kapitalistą ani też pracodawcą jak to nieprzychylni Poskiemu Związkowi głosili. Był on farbiarzem z zawodu, wykonując pracę sam w domu.

Skarbnikiem był wówczas A. Jankowski, krawiec z zawodu. Sekretarzem był krótki czas W. Góralski, przykrawacz szewski, po nim Franciszek Małolepszy tegoż samego zawodu.

W tym składzie pracował zarząd do 29 listopada 1903, w którym to dniu odbyło się pierwsze walne zebranie, o którem się jednak w swojem miejscu obszerniej rozpiszę. A teraz wróćmy do roku 1902. Zorganizowanych było w tym roku kilka tylko zawodów i miejscowości. W Poznaniu istniały filie: niekarzy około 40 członków, rymarzy około 20 członków, szewców około 50 członków i mieszana w Obornikach na jakie 20 członków.

Zebrania zarządu i ogólne członków odbywały się w lokalu „Patria“ przy ul. Św. Marcin a później w lokalu Genslera przy ul. Koziej.

To już ówczesnym kierownikom ca-

łego ruchu oddać trzeba, że pomimo trudności nie zasypiali gruszek w popiele, lecz agitacyę rozwijali energiczną i ruchliwą.

W ostatnich dniach czerwca roku 1902 można było czytać w pismach poznańskich następującej treści notatkę: „Zebranie obywatelskie, zwołane celem omówienia spraw zawodowych i bieżących na ostatnią niedzielę w południe na salę bazarową przez pp. Tomasza Dembnickiego, Teodora Krausego, Stefana Krystka, Jakóba Ledworowskiego, Ludwika Wilaka i Ignacego Zamiarę — zostało przez policyę zakazane!

Chodziło oczywiście o wiec Związku Polskiego.

Podałem tu umyślnie wszystkie nazwiska zwołujących, ażeby dobitnie wykazać, że i tym razem nie kto inny tylko gromadka *pracobiorców Polaków,* a nie majstrów i pracodawców, nie księży i doktorów, jak to można było lata całe czytać w prasie socyalistycznej a także chrześciańskiej, zabrała się do urzeczywistnienia tej tak szlachetnej i błogiej w skutkach myśli, stworzenia polskiej organizacyi.

Była to większa część, a może nawet wszyscy — członkowie Koła Rękodzielników, o czem już wyżej wspomniałem.

Zakaz ten nie odebrał jednak zwołującym ducha. Niezrażeni niepowodzeniem zwołują wyżej wymienieni powtórnie wiec na tej samej sali, na niedzielę 6 lipca.

Obszerna sala bazarowa zapełniła się wiecownikami po brzegi. Widać z tego, że sprawa Związku Polskiego była nader aktualną i że zainteresowała szerokie koła sfer rzemieślniczo-robotniczych. Zagaił wiec Teodor Krause (już wtenczas prezes Związku) proponując, ponieważ to był wiec publiczny, na przewodniczącego Ignacego Andrzejewskiego, znanego obywatela poznańskiego — na co się obecni zgodzili. Po ukonstytuowaniu biura, zabiera głos dr. Celestyn Rydlewski, który aczkolwiek sam nie robotnik, przejął się sprawą robotniczą na wskroś, przytem przestudyowawszy dzieje związków angielskich i niemieckich mógł niejednokrotnie kierownikom polskiego związku dobrą służyć radą. W mowie swej, opartej na gruntownej znajomości rzeczy, jak wówczas sprawozdania gazet opiewały, co zresztą z samego przemówienia, które poniżej w streszczeniu podaję wynika, omawia mówca znaczenie związków zawodowych, przechodzi po krótce historyę związków angielskich i niemieckich, poczem wyjaśnia stanowisko robotnika w dobie teraźniejszej.

„Robotnikiem — mówi prelegent — nie jest jedynie ten, który nie ma zawodowych wiadomości, który nie ukończył jakiegoś ograniczonego czasu nauki w zawodzie, lecz *każdy,* który jest *pracobiorcą,* każdy, który w pracy ma kogoś nad sobą, od którego jest zależny. Związki zawodowe robotnicze — mówi prelegent dalej — wytworzyła potrzeba w całym świecie i dla tego są one doniosłego znaczenia, że chronią robotnika przed wyzyskiem kapitałów. Chociaż podkład związków jest natury czysto ekonomicznej, mimo to widzimy, że one mają odcienia także polityczne. Idea związków zawodowych nie ma nic wspólnego z socyalizmem, a jeśli socyaliści czepili się tych związków, to jedynie używają ich nie jako celu, lecz jako środka agitacyjnego. Socyalizm dąży do przewrotu politycznego, jego teorye są tego rodzaju, że dąży do panowania, że na gruzach dotychczasowego porządku rzeczy pragnie stworzyć inny porządek, lecz sam nie wie jaki. Ideą socyalizmu jest *rewolucya* — ideą związków zawodowych *ewolucya.* Z tego to powodu Lassale był zaciętym przeciwnikiem związków, bo upatrywał w nich ewolucyę społeczną powolną na podstawie postępu, a tego socyaliści nie chcą, oni chcą przewrotu i panowania. Późniejsi przywódzcy socyalistyczni połapali się w sytuacyi i ujęli w rękę organizacyę związków, ale jedynie z tego powodu, że gdyby tego nie zrobili wyzbyliby się środka agitacyjnego nadzwyczaj doniosłego znaczenia. Poczęli więc tworzyć związki zawodowe, aby w nich módz swą siłę skoncentrować i mnożyć swe kadry z ludzi niezadowolonych. Tak się ma rzecz z związkami pokroju socyalistycznego. Że robotnik polski nie ma czego szukać w tych związkach, to rzecz jasna, bo jego interesa rozchodzą się wprost z interesami związków niemiecko-socyalistycznych, a ztąd może w nich być tylko przedmiotem wyzysku. Ważną jest kwestya narodawa w stosunku do kwestyi ekonomicznej. Pod zaborem pruskim grozi nam germanizacya i ztąd zagrożony jest nasz byt narodowy, który się opiera na kwestyi ekonomicznej. I na tem to polu rozgrywa się najważniejszy akt walki o byt narodowy. Widzimy, że właśnie przeciwnicy nasi dążą do ogłodzenia naszego społeczeństwa i zepchnięcia go do roli proletaryatu, który, gdy mu chleba zabraknie, zginąć będzie musiał pod narodowym względem. Dobro ogółu zatem wymaga wytężenia wszystkich sił ku obronie bytu ekonomicznego naszego ludu, od którego byt narodowy jest zależnym. Polskie związki zawodowe mają bardzo doniosłe znaczenie, bo *ich zadaniem jest wytworzyć siłę opartą na sile jednostek robotniczych* i wspólną siłą regulować popyt pracy na rynku stosunków społecznych. Jeśli ktoś sprzedaje wieś kolonizacyi, zarabia na tem jako jednostka, lecz ogół na tem traci, bo ludzie pozbawieni zarobku na roli, idą za chlebem w świat, do miast, gdzie powinni znaleźć jakieś oparcie i poradę — a mogą ją znaleźć w związkach. Jak nie będzie polskich związków, robotnik popadnie w sidła socyalizmu i stanie się jego bezwiednem narzędziem. Że robotnik niemiecki nie jest życzliwym dla robotnika polskiego na to są setne dowody. Socyaliści dążą nawet tak samo do zniemczenia Polaków, jak to wykazał jeden z ich mówców w Poznaniu, twierdząc, że germanizacya robotnika polskiego wychodzi na korzyść socyalizmu. Lud polski zdobył się w polityce na samodzielność — *na polu ekonomicznem musi się także zdobyć na samodzielność* i sam winien kierować związkami polskiemi, bo oglądanie się na obcą pomoc prowadzi do upadku. Z powodu praw antypolskich grozi robotnikowi polskiemu straszne niebezpieczeństwo i gdyby nie rozmaite sprzyjające okoliczności, jakie system ekstyrpacyjny powoduje, mogłoby się zdawać, że położenie nasze jest bez wyjścia. A jednak tak nie jest, bo od tysiąca lat toczy się walka pomiędzy nawałą niemiecką a Polakami, a jednak w skutkach wykazuje się, że jesteśmy silniejsi, niż sami sądzimy, bo gdybyśmy silnymi nie byli, nie wytaczanoby nam coraz zaciętszej walki na polu ekonomicznem, bo któżby się z słabym liczył? To też przyszłość nasza zależy nie od zamiarów przeciwników naszych, lecz od nas samych, od siły, jaką sami z siebie wyłonimy. Potrzeba, abyśmy wszyscy jasno znali nasze położenie i na niczyją pomoc się nie oglądali. Dla tego *robotnicy polscy sami twórzcie związki zawodowe i sami w nich rządźcie!* Niestety w 20 wieku, istnieje w Prusach jeszcze prawo, że wiejskim robotnikom nie wolno łączyć się w związki — dla tego robotnicy miejscy tem więcej dbać o nie powinni i w nich siłę wytwarzać!*)

---

*) Właśnie za tę mowę padały pod adresem dra Rydlewskiego ze strony przeciwników zarzuty, że nie robotnik, tylko lekarz wygłaszał mowy po wiecach i tem samem przyczynił się do założenia polskiej organizacyi. Tu zaznaczyć muszę, że nie ma najmniejszego powodu zapierać, że Dr. Rydlewski przyczynił się do rozwoju polskiego Związku. Lecz twierdzić, że to Rydlewski i jemu równi stworzyli związek polski, to się z prawdą nie zgadza. Myśl powołania do życia Związku polskiego powstała, jak już dosyć wykazano, wśród robotników samych, a że udawano się po radę i pomoc do dra R.

Przemówienie to przyjęło zebranie burzliwemi oklaskami. Przemawiali na tym wiecu jeszcze inni mówcy, lecz już nie w sprawach dotyczących organizacyi zawodowej i dla tego dalszy przebieg wieca pomijam, podając jedynie jeszcze pierwszą część rezolucyi, odczytanej przez dr. Romana Szymańskiego, która brzmiała:

Zważywszy, iż cały system pruski, mianowicie ustawy kolonizacyjne, które już są, jak i te, które mają nabrać mocy prawa, zwraca się w pierwszej linii przeciwko ludowi polskiemu, a w skutkach swych przedstawia się jako ograniczenie warunków zarobkowych naszego bytu ekonomicznego, tej podwaliny naszego bytu narodowego,

my zebrani na wiecu w Bazarze dnia 6 lipca 1902 r. rzemieślnicy i robotnicy polscy

protestujemy

przeciw całej polityce pruskiej, wobec nas praktykowanej.

Głęboko przeświadczeni, iż wynik tej walki, toczącej się przeciwko nam, że przyszłość nasza jako narodu, li tylko od nas samych, od naszego nieugiętego hartu, naszej żywotnej siły zawisła,

wzywamy

cały lud polski, aby nie przestając na słowach, na system pruski czynami odpowiadał, przestrzegając na każdym kroku zasady narodowego gospodarstwa.

Należy zatem:

rozszerzać przekonanie o konieczności łączenia się w odrębne związki zawodowe i przystępować do istniejących już organizacyj rzemieślniczych i robotniczych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prawdziwa ozdoba, cnotą ma być nabywana, a okrom niej ani pomyśleć o tem.

Andrzej Frycz Modrzewski.

* * *

Nie błądzi, kto się pytać ma ufność, pokorę,
Bo błądząc, szukać drogi, śmiertelnych udziałem.

A. Mickiewicz.

---

to dla tego, że miano do niego zupełne zaufanie i pomoc spodziewaną znaleziono. Zresztą czemu się tu dziwić? Już w innem miejscu zaznaczyłem, że sprawa związków zawodowych była w społeczeństwie naszem czemś nowem, więc chociaż było u wielu dość zapału, to jednak ten zapał nie mógł wypełnić braku wiadomości organizacyjnych. Wreszcie w wszystkich innych związkach działo się tak samo, wspomnę tylko dr. Hirscha, Ferd. Lassallego, prof. X. Hitzego i wielu innych, więc dla czegoż miało by być występkiem, gdy polskiemu związkowi dr. Rydlewski lub X. kanonik Adamski rady udzielali?

Z żałobnej karty.

Ś. p. Eliza Orzeszkowa

zmarła w Grodnie dnia 18-go b. m. rano po dwugodzinnym ataku sercowym. O stanie zdrowia wielkiej powieściopisarki od dni już kilku krążyły niepomyślne wieści; nikt jednak nie



† Eliza Orzeszkowa.

przypuszczał, aby katastrofa była tak bliska.

Z Orzeszkową schodzi do grobu jeden z największych współczesnych talentów pisarskich. Niedawno pisaliśmy o jej nowych powieściach w „Nowościach beletrystycznych" (patrz nr. 17 „Pracy").

* * *



Domek Elizy Orzeszkowej w Grodnie.

Orzeszkowa z Pawłowskich Eliza, ur. r. 1842 koło Grodna na Litwie, zajmowała w powieściopisarstwie polskiem stanowisko bardzo wybitne i zaszczytne. Dzieła jej, liczące w wydaniu zbiorowem przeszło 40 tomów, obracają się zawsze około ważnych spraw i mają za cel rozumne ich przedstawienie i uczciwe rozwiązanie. Orzeszkowa nie dążyła nigdy do tego, by czytelnikowi dawać w powieściach tylko przyjemną zabawę, lecz by go w powabnej formie pouczyć o smutnych lub złych stosunkach ludzkich, które wymagają zmiany i skutecznej naprawy. Do najlepszych jej utworów należą: „Pan Graba", „Na dnie sumienia", „Marta", roztrząsająca ważne zagadnienia społeczne, „Eli Makower", „Meir Ezofowicz", przedstawiające świetnie żydów, „Cham", „Nad Niemnem", malujące po mistrzowsku lud i drobną szlachtę, wreszcie „Z różnych sfer", zbiór doskonałych treścią i formą krótszych opowiadań. Znakomita ta autorka szczególnie lud ukochała; w wielu swoich powieściach przedstawia życie ludu; gorąco wzywa do zajęcia się jego losem, zachęca do opiekowania się najwięcej potrzebującymi pomocy i światłej rady, maluje ich cierpienia i ciężkie życie. W szeregu wydawnictwa „Książeczek dziesięciogroszowych" ogłosiła powieść dla ludu pod tytułem „Kramarz."

Mocna to zbroja z poczciwością cnota,
Ta sławy strzeże — a broni kłopota.

Mikołaj Rej.

* * *

A szkoda zwać człowiekiem, kto bydlęco żyje.

Jan Kochanowski.

* * *

Kto chce być długo starym, trzeba, iżby był krótko młodym.

Ignacy Krasicki.

* * *

Raz tylko wpuść dyabła do swego domu,
A raj ci w piekło zamieni.

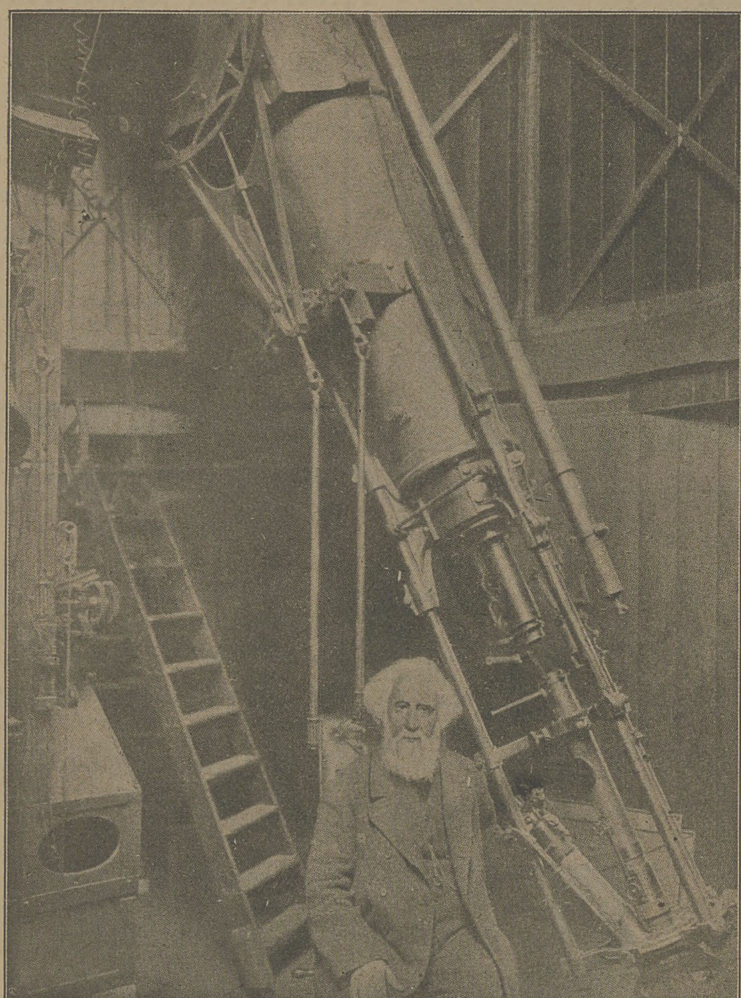
Fr. Morawski.

† William Huggins.

Z Londynu donoszą, że umarł tam w wieku lat 70 William Huggins, głośny astronom i fizyk. Zaraz na wstępie karyery naukowej zwrócił się zmarły do badania ciał niebieskich drogą analizy spektralnej, w szczególności stwierdził w wielu mgławicach istnienie azotu i wodor. Zajmował się również spektralną analizą komet i zastosował ją do określania ruchu kowo drobnemi punktami, tylko jaśniejszemi niż dla gołego oka. Dla tego też przez teleskopy można dostrzedz i takie gwiazdy stałe, których nie widać gołem okiem z powodu zbyt słabego ich blasku.

Za pomocą zobrazowanego na rycinie ogromnego teleskopu obserwował świeżo zmarły William Huggins także od dłuższego już czasu kometę Halley'a, którą w tych dniach oglądaliśmy i jeszcze oglądać będziemy także u nas na nieboskłonie.

O ogromie teleskopów świadczy między innemi obserwatoryum wiedeńskie, posiadające cztery wieże do spo-



Angielski astronom William Huggins w swem obserwatoryum.

gwiazd. Studyował też protuberancye i usiłował określić ciepło, przedostające się na ziemię z gwiazd stałych. Astronomia liczyła Hugginsa do najwybitniejszych przedstawicieli.

Na rycinie widzimy ogromny teleskop (wyraz ten pochodzi z greckiego i znaczy przyrząd do patrzenia w dal). Mniejsze teleskopy nazywają też lunetami; są to rury zamknięte na końcach szklanemi soczewkami. Patrząc przez teleskop, widzimy odległe przedmioty o wiele większemi niż gołem okiem, można też na nich (np. na księżycu, planetach) dostrzedz więcej szczegółów. Gwiazdy stałe i przez największe teleskopy wydają się jednastrzeżeń. Największą z nich, mającą koła i spoczywającą na szynach, można za pomocą liny obracać na wszystkie strony. Ta wieża posiada ogromny teleskop Graffa, ważący 150 centnarów i mający przeszło 10 metrów długości. Soczewka tego teleskopu powiększa obserwowaną gwiazdę dwa tysiące razy.

Smutek niby mądra książka w sercu żyje,
I mówi wiele rzeczy, i człowiek nie gnije
Jako muchomur pod sosną, lecz zbiera po szczypcie
Przestrogę do przestrogi . . . .

J. Słowacki.

Z Balińskich Piechowska - Monsteru.

SONET.

Łamany lot w przestworach drży
i dźwięcznych strun nie trąca;
— w piorunny ton podzwaniasz ty
o, lutnio ma — płonąca!

I czemu wzwyż szybujesz tam —
gdzie ranią pierś twą groty?...
Z Gehenny tej, we wizyi chram
odbiega cień twój złoty — —

I nie chcesz spocząć tu,
w mialiźnie szarej ziemi;
— krwawiącem skrzydłem wzbijasz w dal —
hen! w dal —

gdy w piersi brak już tchu...
akordy rozdźwiękłemi
dobędziesz hejnał sklęty w jęk
i żal! . . . . .

Nasze ryciny.

Józef Męcina Krzesz: Portret Andrzeja hr. Potockiego.

Znakomity twórca portretu zamordowanego przez Siczyńskiego namiestnika Galicyi był, jak wiadomo, jednym z najwybitniejszych uczniów Matejki. W portrecie tym odżyły świetne reminiscencye Matejkowskiej szkoły. Prawdziwie senatorska godność bije od wyniosłej postaci wysokiego dygnitarza, a z szlachetnie sklepionego czoła i z śmiało zarysowanych brwi bije poczucie siły i nieugięta duma potomka sławnej rodziny możnowładczej. Portret tak w rysunku jak kolorystyce pełen wyrazu i życia należy do najlepszych prac Krzesza. Osoby, które znały osobiście zamordowanego namiestnika, utrzymują, że podobieństwo jest zupełne. Jako dzieło sztuki zajmuje to płótno pierwszorzędne zupełnie miejsce. Żałować należy, że dzieła Krzesza tak krótko tylko zostawały u nas. Miejmy nadzieję, że niezrównany mistrz i w przyszłości nie zapomni o Poznaniu, który tak rzadko ma sposobność oglądać dzieła sztuki tej miary, co obrazy Krzesza.



Józef Męcina-Krzesz.

Portret Andrzeja hr. Potockiego.

ALBUM „PRACY.“ DRUKIEM „PRACY.“



Do kobiety!

Kobieto!
Na oceanie żywota,
W bezmiarze czasu, przestrzeni,
Jako jutrzenka tyś złota,
W którą z zachwytem wpatrzeni,
Za jej żeglujem podnietą. . . .

Źrenice,
Któremi wnikasz w serc głębie,
Szukając dla się ostoi,
Są, jak na skalnym dna zrębie,
Gdy toń się w wiry uzbroi,
Dwie bezpieczeństwa kotwice . . . .

A żagle —
To są twych marzeń welony,
Kiedy się w pełni rozwiną,
A wiatr z przyjaznej im strony,
Po nad powierzchnią wód siną,
Powieje z pluskiem fal nagle....

Kajutą —
Jest wnętrze serca twojego
Dokąd my w życiu swem krótkiem,
Od losu chronim się złego,
Przed troską, żalem i smutkiem,
Przed życia męką odczutą . . . . .

Nie skona
W zdradnym żywota odmęcie
Ten, kto za głosem anioła,
W krytycznym życia momencie,
W twoje objęcia paść zdoła,
Jak w zbawcze masztów ramiona . . . .

Dopłyną
Do cichej pragnień przystani
Wszyscy, coć wierni zostaną:
Strudzeni, słabi, stroskani,
Z duszą przez burze starganą,
Z miłości żądzą jedyną.

Lecz trzeba,
By miłość sterem ci była,
Zaś wiedza światłem jedynie,
Byś z oczów dróg nie traciła,
Co, ku cnót wiodąc wyżynie,
Podnoszą myśli do nieba . . . .

Boć nie to
Jest twoim blaskiem i chlubą,
Co treść pozwala swą nikłą
Ziemską ogarnąć rachubą,
Lecz to, co czynić cię zwykło
Z serca i z ducha kobietą.

Wiktor Dzierzanowski.

Aleksander Bogusiński.

NADZIEJA.

Gadało się o tem i o owem, ot jak zwykle w czasie dłuższej podróży — dla zabicia czasu. Nie pamiętam już z jakiej okazyi zacytowałem znane przysłowie „Nadzieja jest matką głupich.“

Ledwie zdążyłem to wymówić, zostałem przeszyty piorunującem spojrzeniem mego współtowarzysza podróży, doktora R. Jego zwykle łagodna, dobroduszna twarz — zachmurzyła się, nabrała niemal surowego wyrazu, a spojrzał przytem na mnie z takim wyrzutem, jakbym go co najmniej dotknął boleśnie lub obraził.

Zapanowało krótkie, przykre milczenie.

Po chwili, doktor pogładził swą falistą, długą brodę i rzekł tonem poważnym, nie znoszącym opozycyi.

— Sens tego przysłowia mija się najzupełniej z prawdą!

Chciałem coś powiedzieć w obronie mojej nieszczęsnej cytaty, ale uprzedził mnie:

— Gdyby przysłowie to mówiło prawdę, wystawiało by tem samem bardzo smutne świadectwo całej ludzkości.

— Nie rozumiem, wtrąciłem.

— Krótko mówiąc, znaczyło by to, iż wszyscy ludzie na świecie są skończonymi głupcami.

Rozwarłem szeroko oczy, gdyż rzeczywiście byłem mocno zdziwiony, co doktor widocznie zauważył, gdyż szybko pospieszył z objaśnieniem słów swoich.

— Tak, panie. Nadzieja, która według tego przysłowia ma być tylko udziałem głupców, w rzeczywistości jest przyjaciółką całej ludzkości, więcej nawet — jest dla tej biednej ludzkości prawdziwą dobrodziejką.

Nadzieja — mówił dalej — to jeden z najpiękniejszych darów Boga, to jasny promyk, który w sercu każdego człowieka od lat dziecinnych aż do ostatniego tchnienia przyświeca, broniąc przed rozpaczą, ułatwiając znoszenie cierpień i goryczy — dając możność wytrwania w ciężkiej walce życiowej, w której często bez tego promyka, uległo by się pokonanym.

Nadzieja, to skarb równie drogocenny dla nędzarzy jak bogatych, dla młodych czy starych, dla szczęśliwych i dla ludzi złamanych losem...

— Zawodzi jednak czasami — wtrąciłem nieśmiało.

— O, tak! — odparł pospiesznie. Zawodzi bardzo często nawet; ale i wtedy nawet sam fakt jej istnienia jest nieoceniony. Ot, weź pan tysiące tych biedaków, którzy stracili już wszystkich i wszystko — ideały, rodzinę, majątek, zdrowie — cóż im pozostaje? — Bolesna rezygnacya, albo promyczek nadziei. Ten ostatni zawsze jeszcze coś wart i potrafi stać się im choć jaką taką pociechą w nieszczęściu.

Przerwał na chwilę i zamyślił się głęboko. Wreszcie uśmiechnął się gorzko i ciągnął dalej.

— O! często ta dobroczynna nadzieja potrafi też ironizować boleśnie — w mym zawodzie mam często sposobność na to patrzeć. Ot, taki biedny suchotnik, w ostatniem stadyum, którego godziny są już policzone —roi plany na lata całe, myśli o przyszłości dalekiej — choć jutro już nie do niego należy. A jednak i taka ironizująca nadzieja, choć przykra dla otoczenia, danej jednostce osładza ostatnie chwile i pozwala jej choć w złudzeniach szukać pociechy, skoro rzeczywistość nie ma jej już nic do zaofiarowania.

Słuchałem w skupieniu mówiącego i dziwiłem się tylko, że ta zwodnicza nadzieja znalazła tak silnego obrońcę w człowieku, któremu życie tyle ciosów zadało i wszystkie nadzieje bezlitośnie niweczyło.

On tymczasem snuł myśli na ulubiony widocznie temat i mówił z rosnącem wciąż przejęciem.

— Nadzieja! Nie sądź pan, że ona tylko duszą pojedyńczych jednostek władnie. Nie! Znaczenie jej jest równie wielkie w zbiorowem życiu ludzkości.

Po pierwsze więc w religii naszej, w nauce naszego kościoła wybitną bardzo odgrywa rolę. Z silnej bowiem, głębokiej wiary — jako naturalne następstwo tejże właśnie wiary, wypływa — nadzieja. Wiara bowiem w życie pozagrobowe, jest równocześnie nadzieją zdobycia szczęścia bezgranicznego i uzyskania nagrody za dobre uczynki.

A w życiu społeczeństwa, w życiu całych narodów jakież ta nadzieja ważne zajmuje miejsce! Są nawet takie biedne narody — szepnął ze smutkiem — którym oprócz nadziei, nie pozostało nic więcej... nic...

Umilkł. Po chwili, jakby się z marzeń ocknął, ręką po czole przesunął i ze zwykłym swym dobrodusznym uśmiechem począł się usprawiedliwiać.

— Wynudziłem pana okropnie, co? Niech pan zechce wybaczyć staremu dziwakowi. Rozgadałem się o nadziei, która mnie specyalnie zwykle zawodziła. A po za tem, mój wiek i nadzieja — to dwie sprzeczności. Jest jednak takich jak ja — spóźnionych zwolenników tej zwodniczej i niewdzięcznej bogini — tysiące — tysiące.

Na następnej stacyi doktor wysiadł; dalszą podróż odbywałem samotnie; słowa jego jednak głęboko utkwiły mi w pamięci i myślałem o nich przez całą drogę.

W kilka dni potem, zbieg okoliczności zdarzył, iż naocznie przekonałem się o prawdziwości twierdzeń mego współtowarzysza podróży.

. . . .

Było to na podwórzu „Przytułku dla starców“. W pośrodku, pod dużym, rozłożystym kasztanem stały dwie długie ławy drewniane z poręczami i takież same wzdłuż ściany jednopiętrowego domu, stojącego w głębi podwórza, a stanowiącego mieszkanie starców. Przyszedłem tam dla zobaczenia się w ważnej sprawie z zarządcą zakładu; nie zastawszy go jednak, postanowiłem chwilę poczekać na miłem, słonecznem podwórzu; usiadłem więc pod drzewem. Naprzeciw mnie, pod ścianą domu siedziało kilku starców. Lubię patrzeć na ludzi, co długie lata przeżyli, co pamiętają dawne, zapomniane czasy i stanowią jakoby żywe, nieliczne pomniki zamierzchłej doby.

Wreszcie interesują mię bardzo twarze starców, tyle tam na nich życie wypisało, iż potrafią zająć sobą, jak ostatnia karta interesującej powieści. A przytem każda prawie twarz starca jest piękną — życie, cierpienia, wiek sędziwy nadaje rysom pewną szlachetność i dobroduszną pogodę, a biały włos i lica zmarszczkami poorane, stroją ją w powagę.

Rad zbliżyłbym się był do grupy siedzących staruszków i pogawędził z nimi chwilę, ale wiedli tak ożywioną rozmowę, iż nie śmiałem im przeszkadzać, a przytem zaciekawiło mię, o czem też tak namiętnie mogą dysputować ci ludzie, z których najmłodszy mógł mieć przeszło sześćdziesiąt, a najstarszemu nie wiele chyba do setki brakowało.

Zbliżyłem się więc nieco ku nim, choć mówili tak głośno, iż i z daleka można było każde słowo doskonale usłyszeć.

W pośrodku ławki siedział rześki bardzo jeszcze starowina, rumiany, pulchny, o twarzy rozkapryszonego dziecka, siwy tylko jak gołąb i bez-



Odpoczynek pastuszków.

zębny; obok niego maleńka zgarbiona figurka z olbrzymiemi szpakowatemi wąsiskami, silnie ubarwionemi tabaką. Dalej kilku jeszcze staruszków, z których jeden w rozmowie wymachiwał energicznie trzymaną w ręku kulą, twarz drugiego przysłaniał zielony tekturowy daszek, ochraniający oczy, tak, iż tylko kawałek nosa był widoczny i mała siwa broda, trzeci z widocznem zadowoleniem palił fajkę, mały tylko w ogólnej rozmowie biorąc udział.

Tuż przy ławce, oparty o ścianę domu stał jeszcze mały gruby jegomość z bardzo dużą siwą brodą, czyniącą go mocno podobnym do bajkowego gnoma, krasnoludkiem zwanego.

Wszyscy z widocznym respektem słuchali siedzącego w środku rumianego staruszka, którego słowa, wypowiadane z wielkim ferworem, najpierwej mi do uszu doleciały.

— Cóż to, ja całe życie siedzieć tu będę? — mówił. Ho! ho! niechno ja tylko siłę w nogach odzyskam, dalej w świat, do pracy! — Da Bóg, na wiosnę drapnę ztąd, i swoją robotę zacznę...

— I co pan będzie robił? — zapytał drugi.

— A przecież panu mówiłem już ze sto razy, że miałem swój warsztat rymarski, duży, piękny warsztat, roboty wiele, czeladników ośmiu... Nie pamięta pan Jan?

— A... może, odparł niepewnie pan Jan.

— E, pan już pamięć traci!

Pan Jan się uniósł gniewem widocznie, bo wrzasnął dyszkancikiem:

— Tylko proszę mi nie przymawiać! Bardzo proszę! moja pamięć zawsze jeszcze lepsza niż pańskie nogi!

— Cicho! nie kłócić się! — krzyknął jegomość z zielonym daszkiem. Nastała cisza, z której też on bezzwłocznie korzystając, zabrał głos.

— Ja, moi panowie, też wam się przyznam w sekrecie, całego życia tu marnować nie myślę! Jak tylko syn egzamina pozdaje, kancelaryę swoją otworzy, tak ja zaraz do niego się sprowadzę i będę mu w pisaniu pomagał.

— Józiu, nie gadaj od rzeczy, jakże ty możesz pisać, kiedy nic prawie na oczy nie widzisz!

Józio żachnął się niecierpliwie i odparł z irytacyą.

— Na to są doktorzy, żeby mię wyleczyli!

— A wiecie chłopy, co ja zamierzam? — wtrącił znienacka staruszek palący fajkę.

— No, no? co? — zapytali wszyscy.

— Ja też tu do śmierci siedzieć nie mam ochoty. Otóż, jak mi tylko to strzykanie w krzyżu ustanie, zaciągam pożyczkę i jazda do Ameryki!

— Bój się pan Boga! do Ameryki!

— A cóż się tak dziwicie?! Toć tam różni ludzie jeżdżą i majątki robią, milionerami zostają. Ja też spróbować mogę! — A jak się wzbogacę, to was wszystkich do siebie sprowadzę i dyrektorami moich fabryk porobię.

— Ja bym pojechał... zakonkludował kulawy.

— I ja... rzekł inny.

— To widzę, wszyscy się nie długo po świecie rozbiegniemy — ozwał się maleńki chudy starowina — bo ja się niedługo na Węgry przeniosę, do synowej — jej teraz samej bardzo ciężko, ale jak tylko ten nieszczęsny proces wygra...

— E, wygra... wygra... przedrwiewał kulawy — tyle lat nie wygrała...

— Ale w końcu wygrać musi! nie ma gadania, odparł stanowczym tonem zasuszony staruszek. A wtedy się i moja bieda skończy, bo choć tu niby nie najgorzej, ale zawsze lepiej u siebie w domu, przy swoich...

— Pewnie, pewnie... potakiwali wszyscy, a twarze ich promieniały, oczy błyszczały radośnie, gdyż każdy z nich widział się już zdrowym, rześkim, bogatym, otoczonym rodziną — szczęśliwym.

Każdy z tych poczciwych staruszków był najmocniej przekonany, iż nie długo już zaświta dla niego lepsza dola i dość mu tylko rękę wyciągnąć po to szczęście, za którem przez całe swe długie życie uganiał się bezskutecznie.

Tylko jeden chudy, zwiędły starowina, co na uboczu milczący dotąd siedział, wstał — westchnął głęboko i szepnął z cicha:

— Tylko ja sam jeden tu zostanę... nikogo nie mam na świecie... nikogo.

I po zżółkłej, pomarszczonej, drobnej twarzy potoczyła się duża, perlista łza.

Po chwili jednak, łzę rękawem otarł, wyprostował się, na twarzy uśmiech blady zawitał i jakby z własnemi myślami rozmawiał, szepnął:

— Chociaż — może...

I znów się uśmiechnął, głową z zadowoleniem pokiwał i z trudem powlókł się do domu, niosąc w swem starem biednem sercu taki jasny promyk — o jakim mówił doktor R. — promyk, co mimo sędziwego wieku, mimo niedołężnej zgrzybiałej starości, mimo iż sam jest na świecie, opuszczony, sierota — przyświeca mu jeszcze, dolę sierocą rozjaśnia i w zdziecinniałej, starczej imaginacyi, pozwala mu roić plany — przyszłości.



Dział kobiecy.

Kobieta — robotnica.

Diderot powiedział: „kiedy się pisze o kobietach, to pióro umaczane być winno w tęczy.“ Tak pisać o kobietach można — chyba tylko wtedy, gdy chodzi o kobiety „z towarzystwa,“ o te szczęśliwe, młode dziewczęta, które, zdawałoby się, nie mają innych celów na świecie, jak być podziwiane, kochane lub te młode kobiety, które, żyjąc szczęśliwie przy boku męża, otoczone są zbytkiem i przepychem. Lecz istnieją miliony kobiet, które od urodzenia skazane są na pracę ciężką. I chociaż nieraz głoszone bywają kazania o miłości bliźniego, chociaż nieraz słyszymy hymny na cześć równości i braterstwa, jakżeż dalekie są te kobiety od siebie, jak mało mają z sobą wspólnego!

Kobieta to inny świat. Michelet powiedział: „Robotnica — to straszne słowo, którego nie znał kraj żaden przed tym wiekiem żelaza, któremu przypisują nasze postępy.“ Niema on jednak racyi, mówiąc, że ostatnie dopiero czasy stworzyły robotnicę. Kobieta robotnica od dawna istnieje. Odległe epoki nie były o wiele lepsze dla kobiet pod tym względem od teraźniejszości. Weźmy czasy przedhistoryczne — kobieta pracuje ciężko. Mężczyzna poluje, stacza walki — do kobiety należy budowa chaty, zbieranie owoców, pielęgnowanie dzieci. Z pojawieniem się ognia, kobieta staje się stróżem ogniska, którego pilnować musi, aby nigdy nie wygasło. Wtedy to przykuta do jednego miejsca, kobieta stwarza obecne nasze rolnictwo i przemysł. Jej ręka pierwsze ziarna zasiała — ona dała początek koszykarstwu, szyciu odzieży itd. itd.

Dziś jeszcze w Austryi i wogóle u ludów dzikich, przyjrzeć się możemy ciężkiej pracy kobiet. Nieraz przy przenoszeniu się np. z miejsca na miejsce, mężczyzna idzie z bronią w ręku jedynie, pilnując bezpieczeństwa, a kobieta dźwiga za nim wszystkie narzędzia, dzieci drobne i nieraz cały materyał, z którego ma być chata odbudowana. Podział pracy między dwiema płciami istnieje od początku cywilizacyi. Właściwy on jest ich naturze. Kobieta, karmiąc dziecko, zmuszona była do przesiadywania w chacie, a więc musiała podjąć się wszelkich prac domowych. Mężczyzna nieskrępowany był w swych wędrówkach.

Posuwając się trochę naprzód, widzimy znów, że los kobiety nie jest do pozazdroszczenia. Weźmy kobiety cesarstwa rzymskiego lub robotnice plantatorów amerykańskich. Były to istoty, które sobą nawet rozporządzać nie mogły i, pracując ciężko, cały swój zarobek musiały oddawać panu swemu i właścicielowi. Czyż los tych kobiet lepszy jest od dzisiejszego?

Robotnice rolne wieków średnich nie były szczęśliwsze. Warunki ich pracy są również ciężkie i niesprawiedliwe.

Lecz stosunki powoli się zmieniają: W XV. wieku, kiedy Ludwik XI. zamierza wprowadzić fabrykacyę wyrobów jedwabnych, zwraca się również do kobiet, nadmieniając w liście do mieszkańców z dnia 15-go grudnia 1466 raku, „zajęcie to dobre i chwalebne, a odpowiednie dla mężczyzn i kobiet każdego stanu.“

W XVII. wieku Colbert zatwierdza pierwszy związek szwaczek. Jednem słowem robotnica i organizacye fachowe kobiece nie są wytworem naszego wieku — jak mówi Michelet. Prawdą jest jednak, że przemysł współczesny pociągnął cały tłum kobiet do pracy.

Miliony ich pracują teraz w fabrykach. Zaczęła się też silna konkurencya między kobietami a mężczyznami po biurach, bankach sklepach i t. d. A konkurencya ta nie jest bez pożytku, gdyż są prace, które specyalnie odpowiadają usposobieniu kobiety, jej większej systematyczności i drobiazgowości. Pomimo to jednak ocena pracy kobiecej jest niesprawiedliwa. Pracuje nieraz bezwzględnie tak samo jak mężczyzna, a jest o wiele mniej płatna.

Zwrócić też warto uwagę na hygienę pracy kobiecej. Zdrowie kobiety nietylko ją samą interesować powinno, lecz obchodzi całe społeczeństwo. Pamiętać zawsze należy, że jest to matka przyszłego pokolenia.

Czem jest praca dla kobiety pod względem moralnym, powiedział Dumas (syn) w jednym ze swych utworów: „Gdyby wszyscy złodzieje i wszystkie kobiety upadłe przychodziły na świat w rodzinach uczciwych, o bycie zapewnionym, nie byłoby ani jednych, ani drugich. Ci, którzyby kradli pomimo wszystkiego, byliby maniakami, te, któreby szły w błoto, byłyby chore.“ Nędza więc i nędzne zarobki fabryczne są główną przyczyną innej nędzy o wiele straszniejszej — moralnej.

A kobieta w przemyśle staćby mogła na równej stopie z mężczyzną. Postęp jej jednak w tym kierunku idzie dosyć leniwie. W ostatnich dopiero czasach kobiety rozumieć zaczynają, że siła w jedności, i że przez swe orgazacye jedynie skutecznie mogą walczyć o własne interesy.

Prawdą jest, że mężczyzna niekiedy staje na przeszkodzie postępowi kobiety, lecz niechęci te zostaną ostatecznie zwyciężone, zwycięstwo bowiem leży w ręku samej kobiety.

Niedługo może zdobędzie kobieta wszystkie prawa i przywileje, które posiadają obecnie wyłącznie mężczyźni. A wtedy skorzystać z tego musi i kobieta — robotnica.

R. K. — „D. G.“

Notatki z hygieny.

Boski Plato twierdził, że piękna twarz jest najwięcej zajmującem zjawiskiem na świecie. Z twarzy poznajemy charakter, czytamy myśli, odgadujemy wzruszenia; w twarzy ludzkiej subtelny psycholog czyta jak w otwartej księdze.

Nietylko regularność rysów stanowi piękność; wyraz szlachetny, dobroć, prostota nadają najpospolitszej twarzy urok i wdzięk często większy niż w twarzach obdarzonych posągowemi rysami. Hygiena nie jest zdolną odmienić rysów, lecz może wykształcić wyraz, udoskonalić ogólny pozór, niejako opromienić zdrowem światłem twarz całą. Żeby mieć piękną twarz, potrzeba mieć piękną duszę, to jest pewnik, o którym kobiety dbałe o piękno nie powinny za-



RYBAK.

pominać. Chciwość, zazdrość i wszelkie ujemne namiętności zostawiają swe ślady na twarzy, robią przedwczesne bruzdy i wyciskają swe nieestetyczne piętno. Pogoda umysłu, dobroć i zdrowie — są to najdoskonalsze źródła i warunki piękności. Cera jest najwrażliwszą na wszelkie złe wewnętrzne czynniki i należy ona do najmniej trwałych ozdób kobiecego oblicza. Hygienista może dać pewne rady dla zachowania delikatności, gładkości i czystości cery, ale będą to tylko półśrodki bez dłuższego skutku. Ogół cały wie już dzisiaj, że złe trawienie, dużo mięsa, alkoholu, ubranie ciasne szkodzą cerze. Młoda kobieta powinna mieć cerę czerstwą, białą czy śniadą, bez plam, bez pryszczy, bez zmarszczek. W jaki sposób można rozwiązać to zagadnienie, kusiło się niemało kobiet, lekarzy, przedsiębiorców aptecznych, a jednak niejedna z pań doszła do celu tylko starannością o zdrowie i powierzchowność swoją, bez żadnych sztucznych żywiołów pomocniczych. Prawidłowe i czynne życie, to droga najprostsza nawet do piękności.

Pierwsze prawidło, o którem pamiętać się powinno, jest to, że skórę na twarzy trzeba tak hartować, jak i na całem ciele.

Atmosfera świeża, bez wiatru, jest dla niej najpomyślniejszą, należy jednak przyzwyczajać się i do brzydszej pogody, wiatr chłodny, nawet zimny odświeża i zarumienia policzki.

Noszenie woalki jest pożyteczne w zimie i na wiosnę. Zmiany atmosfery oddziaływają źle na cerę, ciepło czyni cerę wilgotną, miękką, skłonną do zmarszczek, słońce opala, pokrywa piegami, zbytnie zimno czerwieni, robi skórę szorstką. Łatwo domyśleć się można, jakich starań potrzeba dołożyć za-

leżnie od pory roku. W lecie obmywanie twarzy wodą borną, a w zimie zmiękczanie skóry gliceryną neutralną jest do zalecenia niekiedy. Gliceryną pokrywa się twarz mokrą, nie wytartą jeszcze po myciu. Codzienne używanie gliceryny jest przeciwne piękności i tylko wypadki nadzwyczajne upoważniają do tego, jak: liszaje, szorstkość i pękanie skóry.

Hygiena codzienna wymaga mycia twarzy wodą zimną, najlepszą jest woda miękka; letnia woda otwierając pory, robi skórę wrażliwą na pył i pomaga formowaniu się węgrów.

Rozpoczynać mycie twarzy potrzeba prysznicem; kupuje się do tego zwykły frygator; po prysznicu myć twarz gąbką bardzo miękką. Mydła jak najmniej używać i tylko wtedy, jak twarz jest bardzo zapyloną po balu lub jeździe koleją. Zamiast mydła, raz na tydzień można myć twarz żółtkiem. Do zimnej wody, żeby ją zmiękczyć, dobrze jest dorzucić szczyptę otrąb lub mąki owsianej albo sody oczyszczonej. Czasami dla udelikatnienia dodanie parę kropel cytryny z gęstym sokiem buraków jest dobre i nieszkodliwe w użyciu.

Wieczorem przed snem wycierać twarz z kurzu ręcznikiem suchym i starym i parę razy na tydzień wcierać krem lanolinowy; wcierać najlepiej kuleczkami waty aptecznej dopóty, aż wata będzie zupełnie białą i czystą. Lanolina wzmacnia oczy, a jednocześnie wcierając z góry na dół robi się do pewnego stopnia masaż.

Nadzwyczaj trudno jest twarz uchronić od zmarszczek; osoby nerwowe, cierpiące na migreny, pracujące umysłowo, dostają zmarszczek przedwczesnych. Smutek, gniew, śmiech — to są nieprzyjaciele twarzy; żeby zapobiedz zmarszczkom, unikać potrzeba silnych wrażeń. Twarz ruchliwa przedwcześnie się starzeje; grymas, skrzywienie, wszystko to pozostawia ślady; potrzeba unikać zbytecznego słońca, schudnięcia, słowem do pewnego stopnia prowadzić życie rośliny, co dla kobiet inteligentnych jest niepodobieństwem i nudnem marnowaniem czasu. Amerykańskie „professional beauty“ mogą tylko tak bezmyślne wieść życie.

Jednakże można uchronić twarz od przedwczesnego zestarzenia staraniem, które nawet wiele czasu nie wymaga, jak to: mycie twarzy zimną wodą, prysznic codzienny, masaż z wcieraniem lanoliny, masaż, jakieśmy powiedzieli wyżej, z góry nadół kuleczkami waty i masaż elektryczny, — wszystko to są środki zachowujące młodość.

Stosując przepisy ogólnej hygieny, wpływa się na świeżość i młodość oczu.

Potrzeba sypiać w pokoju często przewietrzanym. Unikać częstych zebrań, teatrów, późnego kładzenia się spać.

Kobietom koło lat 40, bardzo dbającym o twarz, pozwala się na używanie pewnych środków lekarskich odświeżających przeciwko zmarszczkom. Dla młodszych woda zimna i prysznic powinny wystarczyć.

Używanie wody rumiankowej w lekkich zaczerwienieniach skóry jest nader skuteczne; jest to jeden z amerykańskich środków „School ob beauty“.

Potrzeba również dbać o stan żołądka. Na ciśnienie w dołku szklanka rumianku lub wody gorącej. Jedzenie lekkie zdrowe, dużo owoców, rzadkie używanie serów, pasztetów, raków, rzeczy pieprznych, zapobiega czerwienieniu się (bouffies de chaleur), pryszczom, pokrzywce, ostrości płci i t. d.

Wszelkie tłuste pudry muszą być zarzucone, gdyż zawierają w sobie bizmut lub ołów, a przytem twarz pudrowana jest najwymowniejszym dowodem pretensyi do piękności, tem większej, jeśli jej istotnie los nie udzielił. Nic piękniejszego nad naturalność i prawdę.

Wszystkie starania o utrzymanie piękności wchodzą w dziedzinę hygieny i kobieta dbająca o nią, nie powinna o tem zapominać.

Tym paniom, które widzą ze smutkiem, że starość przychodzi, powiemy z Hippokratesem, że ciało jest tylko powłoką człowieka, a nie jego istotą, a zresztą każdy wiek może mieć typ piękny i estetyczny, bo każdy ma własny swój wyraz ducha, który go ożywiać powinien. Pustka tylko jest istotną ruiną.

Dr. Med. G. M—a.

Po szczęście.

Chodziłam, wołałam, szukałam daleko,
Gdy pierś rozrywało pragnienie...
A szczęście, mrugnąwszy mi złotą powieką,
Jak gwiazda staczało się w cienie...
I znowu szłam drogą i smutną i ciemną,
Gdy nagle cudowne zjawisko,
W promieniach calutkie, stanęło przedemną,
Stanęło, mój Boże, tak blisko,
Tak blisko, że patrzę mu, patrzę w źrenice
I czuję, jak w piersiach mi płonie,
I czuję i wierzę, że szczęście pochwycę
Ot, tylko wyciągnąć mi dłonie!...
I czuję i wierzę... Dokoła mnie kroczy
Cień jakiś... Gdzieś dzwonią na trwogę...
A szczęście wciąż stoi i patrzy mi w oczy
I dotknąć go nie śmiem, nie mogę...

Ge—a.

Zabobony i przesądy.

Jak w ciemnych i wilgotnych miejscach gromadzi się kurz, brud i wstrętne owady, tak też w umyśle człowieka nieoświeconego powstają pojęcia błędne, prostackie, naiwne i śmieszne.

Niech takiemu człowiekowi zdarzy się jaki niemiły wypadek, np. koło się złamie w drodze, lub pieniądze zaginą, niech złamie nogę lub w domu jakąś poniesie szkodę, zaraz myśli sobie: aha to dziś poniedziałek, zaraz myślałem, że będzie nieszczęście.

„Nieszczęśliwym“ dniem jest także piątek, lub trzynasty dzień miesiąca, zabobonne osoby nie podejmują w te dnie żadnej pracy ani podróży.

„Złym znakiem“ jest także liczba trzynastu osób przy stole. Wtedy na pewno zdarzy się nieszczęście.

Taki sposób myślenia nowiemy zabobonem. Możnaby wiele jeszcze przytoczyć podobnych przesądów. Ulegają im najczęściej ludzie starzy, których rozum wiekiem już przyćmiony, lub młodsi, nieoświeceni, częściej kobiety niż mężczyźni.

Zabobony są pozostałością wierzeń pogańskich, kiedy to ludzie błądząc w w ciemnościach bałwochwalstwa, przypisywali własności cudowne bałwanom wyciosanym z drzewa lub kamienia, gdy zjawiska natury niezrozumiałe dla nich i tajemnicze, np. grzmot, błyskawice, pioruny, tęczę itd. uważali za sprawy dobrych lub złych bożków. Każdy szmer, głos, uważany był za sprawę duchów.

Czy nie tak samo myśli człowiek zabobonny? Niech usłyszy w nocy jakiś odgłos, którego sobie nie umie wytłomaczyć, zaraz myśli, że to „dusza pokutująca“. A tymczasem było to może suche drzewo, które trzeszczało skutkiem ciepła, albo mysz w szybkim biegu poruszyła jakiś przedmiot.



Tancerka bosa.

Rycina obrazuje tancerkę bosą. Tancerki bose są obecnie bardzo modne. W kwietniu r. b. popisywała się w poznańskim teatrze polskim pani Stefania Dąbrowska jako bosa tancerka. Taniec taki jest piękny: jestto plastyczny wyraz całej skali najróżnorodniejszych uczuć wywołanych w duszy artystki kompozycyą muzyczną, którą ilustruje choreograficznie. Najsłynniejszą tancerką bosą jest pani Izadora Duncan.

Choć światło wiary prawdziwej rozproszyło fałszywe pojęcia pogańskie, to jednakże szczątki ich pozostały w umysłach nieoświeconych nauką, jako gusła, czary, zabobony.

Zabobony są nietylko dziecinne i śmieszne, bywają często i szkodliwe.

Spotyka się czasem przesąd głęboko jeszcze zakorzeniony, w niektórych krajach n. p. w Włoszech, a niestety i u nas, że osoba mająca „złe oczy“, może niemi „zadać“ chorobę lub inne nieszczęście. Przesąd ten wiele już wyrządził złego. Osoba zupełnie niewinna i zacna, może skutkiem przesądnych uprzedzeń stracić dobre imię i zasłużoną sympatyę.

Jeszcze szkodliwszemi są zabobony, zastosowanie „doktorów“, do których nieoświeceni ludzie więcej mają zaufania, niż do zawodowych i fachowo wykształconych lekarzy.

Każdy z nas powinien przy każdej sposobności zwalczać podobne śmieszne i szkodliwe przesądy. Jedynym i niezawodnym ku temu środkiem jest oświata. Ona to rozprasza mroki, zaciemniające umysł, ona rozszerza widnokrąg myśli i podnosi nas nad poziom pospolitości i ciasnoty pojęć. Gdzie prawdziwa i gruntowna nauka, tam nie mogą się ostać zabobony i przesądy.

Przeklęte głowy, które fałsze kreślą,
I ten, co język swój bluźnierstwem zmazał.

Elżbieta Drużbacka.

Carmen Sylva.

O karze śmierci.

W głośnej ankiecie berlińskiej, której celem było wydanie opinii publicznej o wyrokach śmierci, zabrała głos znakomita poetka królowa Elżbieta Rumuńska, pisująca pod pseudonimem Carmen Sylvy.

Ankieta ta dała wyniki niespodziewane. Z pomiędzy wielu znakomitych pisarzy i myślicieli było dużo takich, którzy z całą stanowczością wypowiedzieli się za utrzymaniem kary śmierci, jak np. Wedekind.

Wśród odpowiedzi nadesłanych na wspomnianą ankietę, słowa sędziwej królowej tchną prawdziwą głębokością.

Jakkolwiek wszyscy ludzie, obdarzeni rozumem i sercem, zastanawiają się nad tą kwestyą, pozostanie zapewne nierozstrzygniętą. Jedni mówić będą w dalszym ciągu: „Czemu obciążać państwa utrzymywaniem niepoprawnych zwykle przestępców, skoro najlepsze jednostki tracą życie na polu bitew?“ Inni powiedzą: „Jeśli uważamy karę śmierci za karę, musimy jej być przeciwni, albowiem nie mamy prawa stosować kary, której koniec i działanie jest nam nieznane“.

Czem jest śmierć — nie wiemy. Patrzymy na nią z trwogą — bo nie wyjawia nam swych tajemnic. A jednak jedyną rzeczą pewną na tym świecie jest śmierć. Czy mamy prawo nią rozporządzać? Skoro samobójstwo poczytywane jest niemal za wykroczenie zbrodnicze, co nas upoważnia do szafowania życiem bliźnich? Wszak mamy wrodzony wstręt do kata, patrzymy na niego tak prawie, jak zwierzę w bydłobójni patrzy na rzeźnika, wyłączamy go ze społeczeństwa ludzi uczciwych. Świat pełen jest sprzeczności. Ze spokojnem sumieniem zjadamy woły, a z niezmiernem współczuciem pielęgnujemy chore psy i konie.

Z lekkiem sercem wysyłamy na śmierć pewną, miliony niewinnych, a zastanawiamy się głęboko, czy usunąć z drogi winowajców?

Z chwilą, gdy uważamy przestępców za ludzi niepoczytalnych, nie mamy prawa ich zabijać, bo przecież nie zabijamy obłąkanych. Przeciwnie, staramy się losowi ich ulżyć.

Więźniowie powinnniby pracować na świeżem powietrzu, w ogrodach, pielęgnować kwiaty. Ale wówczas biedacy, ginący z głodu, powiedzieli-

by, że lepiej być zbrodniarzem niż uczciwym. Przekonano się, że zesłańcy w osadach karnych wśród walki z naturą odzyskują moralne zdrowie.

Gdyby mnie kto zapytał: „czy stosować karę śmierci lub nie?" — odpowiedziałabym stanowczo: nie. Za żadną cenę, bo nie wiemy, dlaczego żyjemy, i nie wiemy, do czego śmierć prowadzi.

Może być najwyżej mowa o usunięciu przestępców z drogi porządnych ludzi, nie zaś o stosowaniu kary, która może karą nie jest.

Strach, poprzedzający chwilę śmierci, nie może być uważany za karę, gdyż trwa mgnienie oka. Państwo powinno dbać o wychowanie dzieci, pojedyńcze jednostki chronić od pijaństwa, jeśli chce być wolnem od przestępstw.

Gdyby właściciele ziemscy zamknęli gorzelnie, uczyniliby więcej dla ludzkości, niż ci, którzy myślą o poprawie warunków w więzieniach.

W Rumunii kara śmierci nie istnieje, statystyka wykazuje nam minimalną liczbę przestępstw w stosunku do innych krajów. Nie jest to jednak argumentem przeciw karze śmierci; przyczyną tego objawu — rzadkość zaludnienia.

Dawniej skazywano u nas przestępców na ciężkie roboty w kopalniach soli, od czasu jednak wprowadzenia w nich elektryczności chłopi miejscowi oświadczyli się przeciw wymierzaniu takiej kary, gdyż pozbawia ich ona uczciwego zarobku. Przed laty wstrząsający widok przedstawiali skuci łańcuchami zbrodniarze, pracujący w ciemnych czeluściach. Natchnęło mnie to do napisania libretta opery „Neoga", muzykę do niej skomponował Hallstroem.

Bogu dziękuję, że ręka męża podpisała wiele, bardzo wiele dekretów ułaskawiających, lecz ani jednego wyroku śmierci.

Selma Lagerlöf.

PORTRET MATKI.

Nowela.

Tłum. ze szwedzkiego.

Stary Mattson mieszkał w jednym ze stu domów, tworzących osadę rybacką, domów tak podobnych do siebie — z kształtu, z rozmiaru, z drzwi i okien, że można by je wziąć za jeden.

Wszystkie izby tej osady były zapełnione sprzętami jednakimi, we wszystkich oknach stały doniczki z jednakowymi kwiatami, na wszystkich komodach były te same muszle i korale, wszystkie ściany były zdobione takimi samymi obrazkami. I wedle starego obyczaju, wszyscy mieszkańcy wiedli żywot jednaki.

Nad łóżkiem starego Mattsona wisiał portret jego matki. Otóż pewnej nocy śniło mu się, że ów portret, wyszedł z ramek, zstąpił ze ściany i przemówił do niego w te słowa:

— Ożenisz się, Mattson.

Stary Mattson zaczął przekładać portretowi matki, że to jest niemożliwe, miał przecież lat siedemdziesiąt i dwa. Ale portret powtórzył jeszcze głośniej: „Ożenisz się, Mattson."

Stary Mattson miał głęboką cześć dla portretu swej matki. Był to od lat wielu jego najlepszy doradca w ważnych i najważniejszych sprawach życia. Ilekroć posłuchał jego rady, zawsze na tem dobrze wychodził. Ale ten nowy rozkaz mocno go zafrasował; był w dziwnej sprzeczności z opinią, jaką portret dotychczas wyrażał.

Mattson, choć zaspany, pamiętał, co się stało, gdy po raz pierwszy chciał się żenić.

W chwili, gdy się ubierał do ślubu, wyleciał gwóźdź, na którym była zawieszona ramka i portret spadł na ziemię.

Było to ostrzeżenie, ale Mattson nie zwrócił uwagi.

Pożałował tego niebawem. Jego małżeństwo było krótkie wprawdzie, ale nieszczęśliwe.

Gdy się ubierał do ślubu po raz wtóry, portret spadł z gwoździa.

Tym razem nie śmiał sprzeciwiać się jego wyraźnej woli. Uciekł od panny młodej, od weselnych gości, wsiadł na okręt i zaciągnąwszy się do załogi, jako majtek, opłynął świat dokoła. Po paru latach dopiero odważył się wrócić do wioski rodzinnej.

I oto dziś, ten sam portret zstępuje ze ściany i każe mu się żenić.

Mimo głębokiej czci dla wizerunku, Mattson pomyślał, że matka z niego podrwiwa.

Lecz portret nie utracił swego twardego wyrazu i głosem, znanym niegdyś dobrze gospodyniom, kupującym ryby na targu, powtórzył dobitnie:

— Ożenisz się, Mattson.

Stary Mattson zaczął się wypraszać, tłómaczyć, że nikt w całej osadzie nie postępował inaczej, jak wszyscy.

Wszak i matka stała zawsze na straży dawnych zwyczajów i tradycyi. A nie było we zwyczaju tej osady żenić się, mając lat siedemdziesiąt i dwa w dodatku.

Wówczas portret matki wyciągnął rękę, ozdobioną pierścieniami i bardzo srogo wezwał Mattsona do posłuszeństwa.

A postać matki w stroju odświętnym budziła w nim zawsze postrach. Gdyby ją namalowano w chustce na głowie, w kaftanie i fartuchu skórzanym, powalanym krwią i łuską rybią, to jest w takiej postaci, w jakiej za życia siadywała przed straganem, Mattson byłby może puścił jej rozkaz mimo uszu, ale przemawiała w sukni czarnej jaftowej z falbanami, w złotej broszce i w ciężkim łańcuchu na szyi.

Nie mógł stawiać jej oporu. Dał słowo, że się ożeni i portret wszedł znowu w ramki.

* * *

Nazajutrz rano, stary Mattson obudził się, pełen trwogi. Nie przyszło mu nawet na myśl sprzeciwiać się portretowi matki, która wiedziała zapewne lepiej od niego, co mu wyjdzie na dobre. Lecz zadrżał na myśl o następstwach jej rozkazu.

Tegoż dnia oświadczył się o najbrzydszą córkę najuboższego rybaka. Była malutka, miała głowę wtłoczoną w ramiona i wystającą szczękę dolną. Został przyjęty, obrano dzień, w którym miał pójść do miasta i dać na zapowiedzi.

Okazało się, że papiery Mattsona nie są w porządku. Owa ucieczka przed małżeństwem spowodowała różne gmatwaniny. Pastor musiał pisać do konsystorza. Nie mógł dać ślubu przed otrzymaniem pozwolenia na związek dozgonny człowieka, który swego czasu przed takim związkiem uciekł na kraj świata. Sprawa przewlokła się.

Stary Mattson chodził raz na tydzień do miasta. W kancelaryi pastora czekał, aż wszyscy interesanci wyjdą. Wtedy dopiero wstawał z ławki pod ścianą i pytał, czy pastor nie dostał jeszcze odpowiedzi z konsystorza.

—Jeszcze nie! — słyszał w odpowiedzi.

Pastor spoglądał na starca, o twarzy ostrej, rozumnej i dziwił się, że miłość w tak późnym wieku może być tak gwałtowna i tak niezwalczona przeszkodami.

— Pilno Mattsonowi do ślubu — zagadnął go kiedyś.

— Ha im prędzej, tem lepiej! — odpowiedział narzeczony.

— A nie lepiej byłoby zaniechać małżeństwa? Mattson już nie młody.

— Niech się pan pastor nie dziwi — odrzekł zagadnięty — wiem, że jestem stary, ale muszę się ożenić. Muszę i koniec.

I tak, przychodził co tydzień, przez całe pół roku, bo dopiero po sześciu miesiącach nadeszło pozwolenie z konsystorza.

Przez ten czas stary Mattson nie miał chwili spokoju. Gdziekolwiek się pokazał w porcie, na rynku, nawet na morzu, przy połowie śledzi, słyszał wciąż docinki i drwinki.

— Patrzcie — mówiono, wskazując go palcem — idzie stary Mattson, oblubieniec, pan młody.

Co gorsza, on sam, bardziej jeszcze od innych, widział, że jest śmiesznym.

Portret matki przyprawił go niemal o szaleństwo.

* * *

Po południu owej niedzieli, w której ogłoszono pierwsze zapowiedzi, stary Mattson, pragnąc uniknąć ciekawości i plotek, błądził nad wybrzeżem i zaszedł bardzo daleko, aż do latarni morskiej. U jej stóp zobaczył narzeczoną. Płakała. Spytał ją, dlaczego się smuci? Może chce wyjść za innego? Stała z głową spuszczoną, skrobała wapno z wieży.

— Może się w kim kochasz? — badał.

— Nie, w nikim — odpowiedziała.

A właśnie do portu wpływała barka. Siedzący u steru chłopak zdjął kapelusz i ukłonił się dziewczynie. Mattson dostrzegł, że jej zabłysły oczy.

— To tak? — pomyślał. — Kochasz się w najpiękniejszym chłopcu z naszej osady. Ten się przecież z tobą nie ożeni. Już nawet lepiej wyjść za mnie, niż czekać na niego.

Gdyby jego narzeczona kochała innego, gdyby była nadzieja, że ten inny zechce się z nią ożenić, Mattson miałby protekst do zerwania małżeństwa i zerwałby je z radością. Ale wobec jej uczuć beznadziejnych nie miał powodu zwracać jej wolności.

Ślub odbył się w dwa tygodnie potem, a niebawem zerwała się burza jesienna.

Jedna z bark małej osady, utraciła ster, wiatr poszarpał jej maszty i zapędził ją aż na fale Sundu.

W barce był stary Mattson z pięciu innymi rybakami. Wichura gnała ich przez dwa dni i trzy noce; gdy ich wreszcie uratowano, umierali z zimna, głodu i strachu. Mattson nie odzyskał już nigdy zdrowia. Słabował przez dwa lata, aż wreszcie umarł.

Wtedy ludzie poczęli się dziwić, że mu się właśnie przed tym wypadkiem zachciało ożenku. A nie mógł wybrać lepszej żony. Doglądała go uczciwie. Gdyby przyszła do niego choroba w stanie wdowieńskim, z pewnością umarłby odrazu. A tak, przynajmniej dwa lata sobie poleżał. Dzięki troskliwości o nieboszczyka, wdowa zdobyła ogólny szacunek.

— Łatwo znajdzie drugiego męża — mówiono.

Przez cały czas choroby, dzień w dzień, stary Mattson opowiadał żonie historyę portretu i zawsze dodawał:

— Weźmiesz go po mojej śmierci — zresztą weźmiesz po mnie wszystko.

— Dajże pokój. Nie mówmy o tem — broniła się,

— Czemu nie? A pamiętaj, jak ten i ów zechce się z tobą ożenić, spoglądaj na portret matki. Mówię ci, nikt w całej wsi tak się nie zna na sprawach małżeńskich, jak ten portret.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 22-go maja 1412 Zygmunt, król węgierski, sędzią polubowym w sprawie Polaków z Krzyżakami. — 1689 założenie w Krakowie kościoła św. Anny. — 1762 śmierć hetmana Michała Radziwiłła. — 1831 bitwa w Bielsku — 1833 powieszenie w Józefowie emisaryusza Karczewskiego.

Dnia 23-go maja 1404 traktat w Raciążu z Krzyżakami. — 1410 śmierć Przemysława, księcia cieszyńskiego. — 1454 wjazd Kazimierza Jagiellończyka do Torunia. — 1588 pogrzeb Stefana Batorego. — 1764 uroczysta gwarancya granic Polski przez Moskwę. — 1791 Fryderyk chwali konstytucyę 3-go maja. — 1831 bitwa pod Hajnowszczyzną. — 1833 powieszenie w Borowie emisaryuszów Dawidowicza i Jakubowskiego.

Dnia 24-go maja 1543 śmierć Mikołaja Kopernika. — 1792 konfederacya targowicka. — 1826 obchód pogrzebowy w Warszawie cara Aleksandra.

Dnia 25-go maja 992 śmierć Mieczysława I. — 1831 bitwa pod Jakaciami.

Dnia 26-go maja 1135 traktat pokoju z Niemcami w Merseburgu. — 1569 wcielenie Wołynia do korony. — 1575 sejm w Stężycy ogłasza bezkrólewie. 1584 ścięcie Samuela Zborowskiego. — 1684 klęska pod Korsuniem. — 1831 klęska pod Ostrołęką. — 1831 koniec powstania podolsko-ukraińskiego.

Dnia 27-go maja 1436 Węgrzy żądają zwrotu ziemi spizkiej. — 1471 Władysław Jagiellończyk obrany królem czeskim. — 1606 zabicie Dymitra i wyrznięcie Polaków w Moskwie. — 1634 zawarto w Polanowie traktat z Moskwą. — 1764 Fryderyk dziękuje Rzeczypospolitej za przyznanie mu tytułu króla. — 1831 bitwa pod Mołoczkami.

Dnia 28-go maja 1577 rozporządzenie królewskie co do okrętów korsarskich. — 1609 bitwa pod Torczyną. — 1793 śmierć hetmana Aleksandra Sapiehy. — 1794 rada najwyższa obejmuje rządy kraju. — 1831 bitwa pod Grajewem.

Humor i satyra.

W koszarach.

Kapral: Teraz jesteś żołnierzem, i powinieneś bronić ojczyzny, oddając za nią krew.

Icek: Panie kapral, ja będę bardzo bronić, ale bez krwi.

* * *

Polepszenie.

— Panie doktorze, jakże pan znajduję, czy ta gardlana choroba mojej żony jest na drodze do polepszenia?

— Stanowczo, małżonka pańska wymówiła już wyraz: Nizza.

* * *

Szczęśliwie

— Czy pan się kochał kiedy, panie Karolu?

— A jakże, proszę pani.

— I szczęśliwie?...

— Bardzo. Gdym poznał moją ukochaną — już miała narzeczonego i wkrótce za niego wyszła za mąż!...

* * *

Piąty węzełek.

Mały Adaś jest dzieckiem wielce posłusznem.

Pewnego dnia matka, rewidując jego kieszenie, znajduje chusteczkę, na niej cztery węzełki.

— Mój Adasiu, pamiętaj, trzeba te węzełki rozwiązać!

— Dobrze, mamusiu — odpowiada Adaś i robi piąty węzełek dla pamięci.

* * *

„Dubeltowy“ Rembrandt.

—Cóż u licha za jakieś czarne płótno zawiesiłeś w salonie? Szkoda ram tak pięknych.

— Bój się Boga, człowieku, co ty mówisz — to jest arcydzieło rzadkości, prawdziwy biały kruk!

— Ależ tu oprócz wielkiej czarnej plamy nic nie widać!

— W tem rzecz właśnie. U Rembrandta połowy postaci nie widać, gdyż ginie w cieniu, a to jest dubelt Rembrandt — i dlatego właśnie nic na obrazie nie widać! Trzeba się znać, mój panie!

* * *

W restauracyi.

— Czy jadasz kiedy tutaj?

— Owszem... czasem...

— A co tu jest najlepszego?

— Hm... ceny!...

Różne powody.

Urzędnik: Nie, jeszcze żenić się nie mogę, mam za mało dochodów.

Hrabia: Ja także, bo mam za mało długów.

* * *

Zdolny uczeń.

— Dwa mniej dwa, ile będzie?

Pytany milczy.

— Miałeś dwie sztuki monety w kieszeni, które wypadły... co mieć będziesz w kieszeni?

— Dziurę!

* * *

Zła recepta.

Lekarz: No, chwała Bogu, odzyskałeś pan zdrowie, ale musisz się jeszcze bardzo wystrzegać zgryzot i irytacyi.

Pacyent: W takim razie, nie posyłaj mi, doktorze, tak prędko rachunku.

* * *

Nic darmo.

Nocny stróż (który o 6 godzinie rano budzi się ze snu na schodkach sklepu na ulicy): Bodaj cię licho! Miałem służbę tylko do piątej, a teraz już szósta. No nic, każę sobie za tę godzinę zapłacić oddzielnie.

* * *

Odmowa.

Hrabia: Mam zaszczyt prosić szanownego pana o rękę jego córki.

Bankier: Panie hrabio, znam pańskie stosunki doskonale. Chcąc pokryć pańskie długi, musiałbym mu odrazu *dwie* córki oddać.

* * *

Bohater pantoflowy.

— Co myślisz pan o idei wiekuistego pokoju?

— Myślę, że... moja żona nigdy na to nie przystanie.

NASZ KĄCIK.

Przed procesyą.

Bzy, konwalje i powoje,
Chodźcie śliczne, wonne moje,
Uperlone rosą kwiatki!
Ja was w drobne podrę płatki
I w sukience mojej białej
Was, dla Bożej rzucę chwały;
Sięgnę w koszyk, wezmę w dłonie
I przed Bogiem się pokłonię,
Przed procesyą rzucę kwiecie.
Ot, jak Boga kocha dziecię!

* * *

Opowiadanie mamy.

(Ciąg dalszy).

Majowy deszczyk jednostajnie bił w szyby, mama podała Stefci chusteczkę do obrąbiania i wziąwszy sama także robotę rozpoczęła opowiadanie zapytaniem:

— Julku, czy pamiętasz kiedy i kto zaprowadził w Polsce chrześciaństwo?

— O, mamusiu, nie miałżebym wiedzieć, że to dzięki czeskiej księżniczce Dąbrówce w r. 965. Mieczysław I.. wraz z całym narodem przyjął chrzest święty?

— Dobrze Julku, że o tem pamiętasz! — Tak, jak Dąbrówce było przeznaczonem naród polski wyrwać z bałwochwalstwa i ku Bogu prawdziwemu przywieźć, tak znów w kilka wieków potem, druga królowa polska posłannictwo to spełnić miała względem Litwinów.

— Ach, mamusiu, to królowa Jadwiga prawda?

— Tak, Stefciu, już raz wam o tem mówiłam, ale czy pamiętacie datę tego ważnego zdarzenia? — Tak Julek jak i Stefcia aż czoła zmarszczyli z wielkiego wysiłku, ale nie mogli sobie nic przypomnieć.

— Więc raz jeszcze opowiem wam o tem.

Było to w roku 1386. śliczna, młodziutka królowa Jadwiga, od dzieciństwa zaręczona z Wilhelmem, księciem austryackim, kochała go serdecznie i uważała się zawsze za przyszłą jego małżonkę. Ale Pan Bóg inny los jej przeznaczył. Oto książę litewski Jagiełło poprosił o jej rękę, obiecując, że jeśli Jadwiga prośbie nie odmówi, on wraz z całym narodem litewskim chrzest św. przyjmie. Bardzo ciężko było Jadwidze taką z całego życia ponieść ofiarę, nie cofnęła się jednak przed nią, widząc w tem wolę Bożą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

* * *

Szarada.

Pierwsze i drugie, to znaczy — nie rzadko,
Drugie zaś liczbę dość wielką oznacza,
Trzecie i czwarte, zwłaszcza, gdy coś warte
Niech zawsze czyni, każde z was gromadko!
Całość to miasto, Polak je otacza
Czcią i kochaniem i nieraz tam śpieszy
Do Tej, co koi, leczy i pocieszy.

Paula Wężyk.

Łamigłówka. (Arytmogryf).

Ułożył czytelnik naszego pisma p. Stanisław Barański z Berlina.

Cyfry zamienione literami dadzą 17 wyrazów, z których środkowe litery utworzą imię i nazwisko sławnego historyka polskiego.

				3	**6**	9				
			12	15	**18**	21	24			
			24	23	**21**	20	17			
		20	17	14	**11**	15	23	17		
		12	15	8	**5**	2	3	24		
	24	17	14	3	**1**	4	17	23	18	
	7	3	14	3	**6**	20	5	1	9	
17	10	13	10	6	**9**	5	16	6	24	15
1	17	9	10	23	**17**	14	15	6	9	17
6	20	3	24	9	**23**	5	6	24	5	20
	6	2	5	4	**5**	16	15	3	12	
	20	5	14	5	**16**	17	1	15	3	
		4	17	7	**5**	11	3	8		
		13	5	20	**14**	17	1	17		
			11	15	**6**	8	17			
			12	15	**24**	10	6			
				19	**15**	6				

Znaczenie wyrazów.

1. Mieszkaniec z nad Bałtyku.
2. Uczony.
3. Statek.
4. Miasto w Syryi.
5. Roślina.
6. Miara czasu.
7. Cieśnina.
8. Kanał w Polsce.
9. Przyrodnik.
10. Przyrząd astronomiczny.
11. Miejscowość pod Warszawą.
12. Sport.
13. Państwo murzyńskie.
14. Nimfa.
15. Poselstwo.
16. Roślina.
17. Drzewo iglaste.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 26-go maja włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie tak zagadki jak też znaczenia wyrazów.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w numerze 19-tym:

U**S**o
K**T**o
Br**A**nd
Do**N**ai
L**I**w
P**S**y
U**Ł**a
Dem**A**des
Pog**W**izd
Zło**T**nik
Pet**R**ycy
Orf**E**usz
Gro**M**ada
Jam**B**osa
Opal**E**nica
Nowi**C**yusz
Paweł**K**arski
Pchła**I**rabin

Stanisław Trembecki.

Tym razem rozwiązania dokładnego nikt nie nadesłał; p. Alfred Badura z Rożdzienia na Górnym Śląsku nadesłał rozwiązanie, ale przeważnie niedokładne co do znaczenia poszczególnych wyrazów.

KARTKA Z ŻYCIA.

Napisała
Bronisława Sękowska.

„I pytam, która okropniejsza burza,
„Czy ta, co skały wyrywa z otchłani,
„Czy łza kobiety, czy rozwiana róża “
N. N.

Barwy na niebie i na ziemi były jesienne, ranek, choć mglisty, obiecywał piękną, lecz niepewną pogodę i cała natura zdawała się być podobną do zmęczonego człowieka, którego ogarnia senność.

Biała perlista rosa okrywała trawy, drzewa, z za mgły wychylało się słońce, jakby snem nocnym rozmarzone jeszcze i jakby nawpół przebudzone, niekiedy jaśniejszem okiem na świat spojrzało, lecz znów osłaniało się wpół przezroczystemi obłoczkami, zdając się leniwo i późno wstawać.

Dalej po niebie czołgały się tysiączne fantastycznych kształtów chmury podarte, to odsłaniając, to kryjąc złotawe słonko.

Ptactwa świergocącego i przyśpiewającego nikt nie posłyszał, bo jedne umilkły, inne za morza poodlatywały, tylko na wypasach około stad zawodzili pastuszkowie. Cicho było wszędzie, las nawet nie szumiał, bo wolał drzemać. Drzewa wszędzie były powleczone rdzawemi i żółtawemi barwami szczególniej wierzby od zaczerwienionych kasztanów jesienną barwą odbijały.

Te same drzewa cudnie kwitnące w maju, na jesieni, obnażone z liści, sterczą jakby łodygi. Łąki pożółkły, kwiat na nich nie rośnie.

Tak, bo zmienność jest powszechnem prawem nietylko w naturze, ale i w uczuciach ludzkich.

, Dalej na pagórku rosło kilka brzóz wygiętych ze spuszczonemi warkoczami, które wyglądały na jesień, jakby poczynające łysieć głowy.

Za pagórkiem widać było posępne, zamyślone olchy, i tak wyglądały, jakby zazdrościły młodym na pagórku rosnącym wierzbom.

Pod olchami rosły znowu krzaczaste, nizkie wierzby, które niby przedstawiając świat demokratyczny, pokornie i cicho wobec dumnie i wysoko rozrośniętych arystokratycznych sióstr siedziały.

Od tych brzóz prowadziła droga: równa, gładka, jakby dwie żółto-różowe wstęgi, wyciągnięte wprost drogą ku cmentarzowi.

Okolica poza cmentarzem szeroka, piaszczysta, była dość smętna, prosta, wysadzona niegdyś brzozami, które pochylone dziwnie w różne strony, rosły krzywo.

Drogą tą, wiodącą ku cmentarzowi, szła poważna, niezbyt już młoda kobieta. Szła pańsko, jakby po swej ziemi, dumnie, wolno, a tak była zamyślona, że zaledwie na świat spoglądała i zdawała się patrząc nie widzieć.

Piękna jej twarz, choć na niej lata kilka już zmarszczek zarysowały, jaśniała jeszcze ową niezwykłą pięknością córek północy, które zdają się przychodzić na świat, jakby z marmuru kute, aby ich czas nie spożył.

Wypełniło się jej oblicze i stało się z pięknego majestatycznem, a reszta młodości jeszcze w niem przeglądała

Twarz, czoło, wejrzenie jej zadumane i smutne. Na głowie na jasnych włosach miała czarną zasłonę.

Na sukni czarnej obcisłej miała płaszcz czarny, pysznem podbity futrem, a suknie jej tak się jakoś posłusznie do jej postaci układały, że całość była poważną i harmonijną. Z pod płaszcza widać było szeroką, czarną wstążkę przewieszoną przez ramię, na której umieszczony był koszyczek, napełniony niebieskiemi bratkami.

Doszedłszy do cmentarza, weszła przez bramę, która zwykle gościnnie otwarta dla wędrowców stała. Tutaj powitaną została serdecznie przez stróża, mającego pieczę nad grodem umarłych; na to serdeczne powitanie zaledwie że lekko skinęła głową, wcisnęła mu w rękę znaczną monetę i jakby unikając z nim rozmowy oddaliła się prędko w głąb cmentarza, znikając mu z oczu.

— To jakaś melancholiczka — pomrukiwał stary stróż do siebie i ramionami wzruszył. — Co rok tu przybywa — mówił dalej do siebie — od tylu już lat na ten grób przyjeżdża, którego już i z ziemi nie widać, aha, przychodzi widać dumać nad marnościami świata tego. Oj! żeby sobie tylko w łeb nie wypaliła, jak to kiedyś ten frant na grobie swej kochanki; no, aleć już nie taka młoda i więcej piękna jak młoda. He, he, starszy człowiek to wytrawny i takiego głupstwa nie zrobi.

Starannie utrzymany cmentarz, miłe choć i na jesieni robił wrażenie, widać, że na wiosnę ładnie tu być musiało; piękne krzewy, róże, brzozy, jodły ugrupowane fantazyą przypadku, rosły, towarzysząc umarłym do koła białych grobowców, czyniły miłą i wcale wdzięczną ustroń.

Parę wzgórków urozmaiciło przestrzeń, a na jednym z nich stała prostego stylu kapliczka, którą z gałęzi drzew zdaleka widać było.

W głównej alei najpiękniejsze były pomniki, jako to: anioły, geniusze gaszące pochodnie, godła życia krótkiego, snu i żalu.

Reszta pomników rozsypaną była po lasku wśród brzóz, sosen, dębów, które niegdyś las składały, a dziś rosły tu zdziczałe krzaki. Tutaj gdzie niegdzie widać było fundamenty wspaniałych pomników, założone na szeroką skalę okryte tymczasem zgniłą od lat kilkunastu słomą. Żal gorący w pierwszej chwili ostygł, pomnik pozostał w projekcie a sklepienie kruche wilgoć zjadła.

Z grobowców kamieni przemawiały: próżność przede wszystkiem, dalej pycha, pobożność, samolubstwo, a niekiedy i żal prawdziwy; to znów błyszczały herby; habdank, pogoń, topór, leliwa i wiele, wiele innych.

Doprawdy, uśmiaćby się było można serdecznie, gdyby tylko gród umarłych usposabiał do tego, z owych tytułów szeroko i szumnie rozlegających się nad garścią marnego prochu.

Rzadko gdzie stary grobowiec starannie był utrzy-

many, świeciły nowe, a z dawnych kruszyły się cegły i mchem porosłe napisy.

Dalej poza grobowcami rozciągał się cmentarz ubogich, las krzyżów drewnianych i mogił żółtych, lub darnin; tutaj żal nie miał za co i małego nawet postawić krzyżyka.

Ileż tu w tym ogólnym przytułku arystokracyi, demokracyi umarłych zgasło młodych i pięknych nadziei, ile to pracy odpoczywało spokojnie po trudach, ileż to głodnych nie łaknęło już kawałka chleba, ileż to kłamstw i oszczerstw różnych, nieodwołalnych położyło się niespokojnie obok chciwości nienasyconych, ileż tu zdrad, podstępów niedokończonych w swych zapędach, a ileż to łotrostw największych, które umiały zawsze wytłumaczyć i znaleźć dla siebie łagodzące okoliczności, a ileż znowu takich, których mściwa ręka losu nie naprawiła, a ile to łez pokrzywdzonych i płaczów i cierpień, to chyba morze całe.

I wszystko legło w grobie, cnota obok występków, wielcy obok maluczkich, arystokraci obok demokratów.

Idąc przez ten gród umarłych, zdawała się zupełnie nie patrzeć na nic i udała się w jedną z bocznych uliczek do grobu, na którym krzyż jaśniał; grób przybrany był świeżym kwieciem. Jasnym, spokojnym płomieniem gorzały na nich lampki.

Tutaj uklękła. Z wyrazu jej twarzy, szczególniej w tej chwili widać było, że na dnie piersi nosi kamień cierpienia, którego ani siła woli, ani czas w zupełności zatrzeć nie potrafiły.

Była w tej chwili piękniejszą niż zwykle, lecz zbolałą.

Te same usta, które niegdyś mówiły: „kocham“, śmiejące się, szczęśliwe, zapomniały już uśmiechu. Na twarzy jej rozpostarł się jakby kir smutku, znać było, że duch jej skąpał się długiem tajonem cierpieniem i choć przez lat tyle zbratać się powinna była z cierpieniem, jakby z rodzoną siostrą, to jednakże przybywając z daleka, corocznie dla odwiedzenia grobu tego drogiego, wszystkie jej wspomnienia odżywały tutaj w wyobraźni, wszystkie przebolałe uczucia znów zawrzały, tak jak rana niezagojona, która się od czasu do czasu odnawia.

On z za grobu widział, że ona jest nieszczęśliwą, a pewnie już i żalu do niej nie miał. Kochał ją za życia do ostatnich granic, to też głos jego z poza grobu mówił jej:

„Pamiętaj o tem, że cierpienia twoje do ciebie należą, ale praca twoja i działalność są własnością ogółu, zrywając ją dla jakichkolwiek osobistych przyczyn, popełniasz kradzież i świętokradztwo, bo odbierasz ogółowi wyniki twojej siły duchowej, do których ogół ma prawo.

„Cierp, ale nie przestawaj być mężną, stopy twe niechaj się krwawią po ciernistej twardej drodze życia, a ty stąpaj ciągle naprzód idąc, choć ciężko, lecz wytrwale.

„Nie patrz na ciasny kraniec własnego widnokręgu, ale okiem myśli wybiegaj w świat szeroki i obejmuj go taką miłością, która zagoi rany twego serca i zapełni twoją samotność“.

Ona słuchając tych nawoływań z za grobu, modliła się serdecznie, a usta jej kornie szeptały: „bądź wola Twoja, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków.“ Amen.

Tymczasem na grobie wszystkie lampki pogasły, jedna tylko z nich dopalała się, lecz i ta już wkrótce zgasnąć miała.

Słońce chyliło się ku zachodowi, przesyłając łagodne przeciągłe promienie, po których wkrótce dać miało ziemi słowa: „dobranoc“.

Wtem nagle tak jakby ocknęła się, wstała i jakby sobie coś przypomniała, wyjęła z koszyczka kwiaty, a były to niebieskie bratki, uwiła z nich na prędce wianek i położyła go na grobie.

Kwiatki, to takie wdzięczne roślinki, wszędzie je mile widzą i Bogu składają na ołtarzach i w czasie ślubu wieńczą niemi skroń panny młodej i na trumnach je składają umarłym i monarchom w darach, a one tak wdzięczne, że każdemu chętnie służą, to też i dzisiaj uwieńczyły grób mile.

Usiadła i głęboko westchnęła. Na twarzy jej po tak serdecznej a długiej modlitwie rozlał się wyraz rezygnacyi.

Z powieki zżółkłej i trochę już pomarszczonej spłynęła łza.

Pomimo pokrzepienia się modlitwą, czuła się jakoś zmęczoną, rozejrzała się wokoło grobów i rzekła sama do siebie:

— Tu przybytek wszystkich ludzi, tu nas pędzą skrzydły swemi chwile szczęścia, chwile trwogi.

Znów rozejrzała się wokoło, dopiero teraz dostrzegła, że nie sama była tutaj, opodal na grobie klęczała także jakaś żyjąca istota, zaczęła się jej pilnie przypatrywać i dostrzegła, że było to dziewczę młodziuchne, jasną twarzyczkę jej okalały włosy w długich warkoczach spadające na ramiona, biała jak śnieg z modremi oczami, sama młodość ledwo rozkwitła w niej. Czystość rysów, smutek, łzy niepokalane zdobiły ją, piękną była. Ubiór miała lekki, stosowny do jej nadobnego wieku.

Na grobie, przy którym klęczała, stał posąg zdający wyobrażać boleść, a boleść czyż to nie piękna modlitwa?

Z ust młodej dziewczyny klęczącej przy grobie, snuła się modlitwa, jakby sznur różańca.

Młoda dziewczyna skończywszy modlitwę złożyła na grobie wianek uwity z żółtych bratków, których ogromny pęk w dużym przyniosła koszyczku, a resztę pozostałych włożyła do kosza.

Dziewczyna rozejrzała się wkoło i zobaczyła teraz dopiero, że nie samą była tutaj, gdyż spostrzegła jakąś panią siedzącą i tak dziwnie zamyśloną, jakby w odrętwieniu będącą i nieruchomo w jeden punkt zapatrzoną, a zacząwszy ją badać, spostrzegła, że wyraz jej twarzy był nadzwyczaj zmęczony i wyrażał boleść.

— Mój Boże! jak nieszczęśliwą musi być ta kobieta?— szeptały jej młode usta — taka jakaś dziwna boleść na jej twarzy. Pewnie przyszła skarżyć się w swem cierpieniu cichą skargą rozpłakanej swej myśli przed jakąś drogą jej sercu istotą, a zwykła szlachetnym porywom i poświęceniom młodość, chętnie wyciąga dłoń współczucia ku temu, kto cierpi i potrzebuje pomocy.

Wysoką zaiste jest potęga młodości, ramieniem swem chętnie chce wesprzeć każdego, szczerze dzieli się ze wszystkiem, co posiada. Szlachetną jest młodość, bo niedoświadczoną a zatem wierzącą.

Szczęśliwa młodość wznosi się na skrzydłach uniesień ku niebu, a choć i jej niebo nie bez chmur, to te prędko przechodzą.

Młoda dziewczyna skończywszy pesymistyczne debaty nad zbolałą panią, bez namysłu zbliżyła się do niej i chcąc ją wyrwać z odrętwienia, odezwała się nieśmiało:

— Przepraszam panią, lecz widząc ją tak bardzo zamyśloną, śmiem ją zapytać, kto śpi pod tym ocienionym grobem, przy którym pani klęczała — czyby rodzice, a może jeszcze i ktoś inny z drogich jej sercu osób?

Mówiąc to, wyjęła z koszyczka żółte bratki, których jej się tyle od wianka zostało, złożyła je obok niebieskich na grobie zbolałej pani i rzekła:

— Bratki to siostrzane kwiaty, niechaj razem leżą.

(Dokończenie nastąpi.)

PAŁAC I TEATR.

Powieść z angielskiego.

10) Tłom. **S. P.**

(Ciąg dalszy).

— Słyszałam o nim!

Lord Keith zmarszczył czoło.

— Słyszałaś? Od kogo? — badała Ewa dalej.

— Od kapitana Adamsa, — brzmiała chłodna odpowiedź Nory. — Nie przypominasz sobie? Wszakże dziś przy herbacie opowiadał nam, że nikt nie umie grać roli Melnota tak dobrze, jak — jak — — Gerald Desmond!

— Prawda! — zawołał kapitan. — To chyba ten sam aktor! Nie wiesz miss Hatton, czy to ten sam?

Nora roześmiała się wesoło.

— To i pan dzielisz przywidzenie miss Herrick, — rzekła, — że bohaterski artysta należy do moich znajomych? Nie, panie, nie znam go wcale!

Mówiła to tak naturalnie i z taką szczerością, że tym razem nawet Ewa dała się w pole wywieść. Ale Nora żałowała gorżko swego kłamstwa, którem po raz pierwszy splamiła usta. Chciała cofnąć to, co powiedziała — ale jak zwykle — nie miała dosyć na to odwagi.

ROZDZIAŁ XI.

— Dzień dobry, pani Ewans! Jakże się miewa dziś nasz pacyent? Czy noc bardzo była niespokojną?

— Wcale nie! Nie zbudzono mnie ani razu, — odrzekła ładna, czarnowłosa właścicielka małego domku na przedmieściu, do którego wszedł teraz właśnie doktor Foot.

— A jednak musiał strasznie cierpieć! — zauważył lekarz. — Leży jeszcze?

— Ale gdzież tam! Wstał rano jak zwykle, tylko mąż mój musiał mu pomódz przy ubieraniu, chciał nawet iść do teatru na próbę! Nie bylibyśmy go mogli zatrzymać, ale zesłabnął nagle tak, że o mało co nie upadł. Nie może sam przejść przez pokój!

— Dyrektor musi przez pewien czas obejść się bez niego; nie ma nawet mowy o tem, aby występował. Muszę mu to powiedzieć. Czy jest kto u niego?

— Nie, ale zobaczę...

— Dziękuję, pójdę sam!

I poszedłszy na górę, zapukał do drzwi pokoju Geralda.

— Proszę! — zabrzmiało z wewnątrz, a równocześnie głosy rozmawiających w pokoju ucichły.

Lekarz zastał Geralda siedzącego w dużym, głębokim fotelu, z owiązaną głową i ręką, przed nim zaś stał młody, przystojny mężczyzna o przenikliwych czarnych oczach i twarzy, pięknej wprawdzie, lecz mającej wyraz pewnej złośliwości.

Na widok wchodzącego podniósł się Gerald i podał mu na przywitanie lewą rękę.

— Więc to w taki sposób wypełniasz pan moje przepisy, — zawołał lekarz surowo. Poznał bowiem od razu, że rozmowa, jaką chory wiódł z gościem, bardzo mu przykrą być musiała. — Przecież prosiłem, abyś pan wszelkich unikał wzruszeń — spokój koniecznie ci jest potrzebnym!

— Niestety, leżeć nie mogę. Wierzaj mi pan, że wygodniej mi siedzieć na fotelu, rana na głowie mniej mi wtedy dokucza.

— Tak się panu zdaje, ja innego jestem zdania! Nie wiele pewnie spałeś tej nocy!

Gerald uśmiechnął się.

— Nie. Ręka spać mi nie pozwalała.

— Puls przyspieszony — gorączka — mówiłem, że tak będzie, — łajał lekarz. — Czemu nie chcesz pan zażyć trochę opium?

— Nie lubię środków usypiających, chociaż przyznaję, że jestem tchórzem pod względem bólu fizycznego. Ale pozwól pan przedstawić sobie mego kolegę, o którym pewnie już nieraz słyszałeś: pan Walter Bryant!

Młody lekarz ukłonił się grzecznie, lecz sztywno. Nazwisko pięknego aktora, bawiącego chwilowo w Stourton nie było mu rzeczywiście obcem, lecz nie był zbyt dobrze dla niego usposobionym. Walter Bryant wziął też natychmiast kapelusz i zwrócił się do Geralda:

— Wstąpię tu później, — rzekł — sprawę tę musimy załatwić w jakikolwiek bądź sposób.

— Nie rozumiem tego, — odpowiedział Gerald niechętnie. — Poco rozważać takie rzeczy? Nie dotyczy to ani ciebie ani mnie.

Równocześnie jednak przecięła głęboka zmarszczka jego czoło i twarz gorącym pokryła się rumieńcem.

— Proszę pana, — rzekł lekarz do Bryanta, — abyś raczył wszelkie przykre interesa odłożyć do chwili, w której pacyent mój pozbędzie się gorączki. W przeciwnym razie nie odpowiadam za skutki. Pan Desmond jest dziś tak znaną osobistością w Stourton, że chodzi mi też o moją sławę lekarską. Mam więc nadzieję, że nie będziesz chciał szkodzić ani przyjacielowi ani mnie!

Bryant rzucił mu tylko gniewne spojrzenie i milcząc, wyszedł z pokoju.

Po wyjściu jego odetchnął Gerald z widoczną ulgą.

— Żałuję jednak bardzo, — odezwał się doktor Foot poważnie, — że nie uparłem się i nie zabrałem pana do mego mieszkania. Tam miałbyś spokój i opiekę lekarską. Tu gorączka tak prędko nie ustąpi, jeżeli się takie wizyty powtarzać będą.

— Ah, to nic. Nie spałem w nocy, dla tego jestem słaby i rozgorączkowany...

— Rozmową z panem Bryantem, — dokończył doktor. — Muszę przykazać pani Ewans, aby lepiej drzwi twoich strzegła. A teraz opatrzymy najpierw rękę... Wiesz pan już, że wszystkie dzieci uratowane wczoraj przez ciebie, żyją i zupełnie są zdrowe!

— Dzięki Bogu!

Lekarz odnowił bandaże na strasznie popalonem ramieniu i chory z widoczną ulgą oparł się o poduszki fotelu.

— A co, lepiej teraz?

— Bez porównania lepiej! Powiedz mi pan szczerze, kiedy będę mógł wyjść?

— To zależy od pana samego. Jeżeli będziesz wypełniał sumiennie moje przepisy i zachowywał się spokojnie, to za tydzień może zaczną się rany goić!

— Za tydzień dopiero?

— Ale to niemożliwe! Nigdy ja...

— Rzeczywiście, będzie to niemożliwem, jeżeli pan będziesz ciągle taki niespokojny! W takim razie trwać to będzie znacznie dłużej.

— Mówisz pan to na sery ?

— Naturalnie! Rany pana nie są śmiertelne, ale niebezpieczne, w razie lekceważenia ich może się gangrena przyłączyć, a nie ręczę za nic!

— Ależ.....

— Tu nie ma żadnych ale i na żadne ale pozwolić nie mogę. Teatr Królewski musi się przez pewien czas obejść bez pana, są zresztą pewnie jeszcze artyści, którzy pana od biedy zastąpić potrafią.

— Tak jest, tylko widisz pan — w czwartek jest benefis miss Courtenay, na którym......

— Przyrzekłeś pan wystąpić? Nic z tego, niech sobie zaprosi kogo innego! Nie wyrządziłbyś jej pan żadnej przysługi! Jedno nieostrożne dotknięcie twego ramienia, a krzyknąłbyś z bólu i zemdlałbyś napewno! I z owiązaną głową występować na scenie? Wątpię, czyby publiczność była z tego zadowoloną! Przykro mi, że tak energicznym być muszę, ale pan pod żadnym warunkiem grać nie możesz.

Gerald poruszył się niecierpliwie, co taki ból okropny wywołało w ramieniu, że mimowolny jęk dobył się z piersi chorego. Z przymkniętemi oczami i zaciśniętemi ustami leżał przez chwilę nieruchomy, a doktor Foot patrzał uważnie na jego piękną, arystokratyczną twarz i pytał się w duszy, jaka tragedya ukrywa się po za tym pozornym spokojem, jaki dramat życiowy wyrył na czole aktora głębokie bruzdy smutku i bólu.

— A teraz, — odezwał się z uśmiechem, — ponieważ skazałem pana na więzienie, muszę ci je trochę chociaż uprzyjemnić. Nie chcesz pan książek do czytania?

— Dziękuję panu serdecznie, — odrzekł Gerald z wytworną grzecznością wielkiego pana. — Nie chciałbym jednak trudzić pana, mam kilka książek w moim kufrze. Są to starzy przyjaciele, którzy mnie nigdy nie opuszczają!

— I ja mam ulubione dzieła, — zawołał doktor. — Słusznie nazywasz je pan przyjaciołmi, zawsze nam bowiem zostają. Moja siostra lubi także czytać, co jej w braku znajomości niejedną uprzyjemnia chwilę. Inaczej byłaby zupełnie osamotniona.

— Wszakże ma pana! — zauważył Gerald smutnie.

— Tak, ale pomimo to siostra moja zawsze prawie jest samą. Ja jestem cały dzień po za domem — co jeszcze nie znaczy, że praktyka tak wiele mi przynosi..... Ale nie mogę wybierać sobie pacyentów, a w mieście tyle już biednych! Wszakże pan zna Stourton? Byłeś pan tu już dawniej?

— Tak!

— Ale nie mieszkałeś stale? Przepraszam — pytanie moje było może niedyskretnem! Wybacz mi pan!

— Dlaczego? Nie mam żadnej tajemnicy do ukrywania! Nie, stale nigdy tu nie przebywałem!

— Bardzo to zajmujące miasto! Nigdzie może nie spotyka się tak rażących sprzeczności. Bogactwo i zbytek, nędza i bieda, radykalni, klerykalni, wszystki to ociera się o siebie!

— Pan tu mieszkasz od dawna?

— Od czterech lat. Rozpocząłem karyerę jako asystent doktora Close, potem praktykowałem na własną rękę. Poczciwy, stary doktor......

— Czy żyje jeszcze? — przerwał Gerald szybko i uśmiechnął się tak, jak gdyby z nazwiskiem tem łączyło się jakieś miłe dla niego wspomnienie.

— Najlepszem cieszy się zdrowiem! On sam posłał mnie wczoraj do pana, sam bowiem zanadto był zmęczony. Cóż to — boli głowa? — zapytał troskliwie, widząc, że Gerald zbladł jak ściana.

— O nie nie! Ale jeżeli mam szczerze wyznać, to wolę, że losy oddały mnie w pana ręce, i proszę pana serdecznie, nie oddawaj mnie starszemu koledze.

Zaufanie chorego pochlebiało niezmiernie młodemu lekarzowi.

— Ani myślę, — odrzekł wesoło. — Zbyt rzadko udaje mi się dostać takich pacyentów, to też nie odstąpię pana nikomu! Szkoda, że krótki pobyt w Stourton i ten nieszczęśliwy wczorajszy wypadek nie pozwalają się panu rozejrzeć w Stourton i w okolicy. Mamy tu kilka wspaniałych rezydencyi!

Gerald poruszył się znów i syknął z bólu.

— Tak? — szepnął przytłumionym głosem, — i do kogo one należą?

— Najwspanialsza naturalnie do lorda Elsdale. Stary zamek historyczny. Tuż obok zamek Firholme, własność lorda Roberta Keith......

— Słyszałem raz coś o zamku Elsdale..... Czy — czy hrabia mieszka tam stale?

— Nie, ale teraz przyjechał na dłuższy czas, z miss Hatton i całym zastępem gości.

— Miss Hatton! — powtórzył Gerald cicho.

— Tak, bratanka hrabiego i dziedziczka całej jego fortuny. Nie słyszałeś pan o niej? Wszakże to znana piękność londyńska!

— Piękności takie nie wchodzą w zakres moich znajomości, — odrzekł Gerald z smutnym uśmiechem.

— Widziałem raz miss Hatton, na otworzeniu bazaru -- wydawała mi się cudownie piękną, ale zimną i nieprzystępną. Patrzy ona na świat tak dumnie, jak gdyby ludzie z innej niż ona, ulepieni byli gliny.

— Ale może ma dobre serce i wspiera biednych?

— Wątpię. Żyje ona tylko dla zabawy. Ja przynajmniej nic o jej dobrych uczynkach nie słyszałem dotąd.

—Taka jeszcze młoda! — szepnął Gerald zapominając się mimowoli.

Ale doktor nie zważał na to.

— Tak jest, — zawołał, — a zresztą wobec przepychu, jaki ją otacza, nie przypuszcza nawet, że nędza lub nieszczęście mogą istnieć na świecie! Zaręczyła się podobno z lordem Keith, całe więc życie chodzić będzie po różach. Czy ramię znów więcej dokucza? dodał, zaniepokojony nagłą bladością Geralda.

— Nie, nie! — odrzekł aktor cicho. — Więc miss Hatton idzie za mąż! za lorda Keitha! Stósowna to zapewne partya!

— Naturalnie! Oboje młodzi, bogaci, piękni! Lord Keith szalenie ma być zakochany!

— A ona?

— Na to już nie umiem odpowiedzieć. Miss Hatton wygląda wprawdzie tak, jak gdyby czekała na panującego księcia, lecz patrzy dosyć łaskawie na lorda Keitha. Przy otworzeniu bazaru nie odstępował jej na krok.

— Znasz go pan?

— Nie, ale słyszałem, że dobry i zacny człowiek. Tylko niezmiernie dumny! Dobierą się oboje pod tym względem! No, a teraz muszę pana pożegnać!

— Jestem panu wdzięczny za miłą gawędkę i proszę, nie zapominaj o mnie!

Doktor Foot odszedł, zachwycony nowym pacyentem, a zaledwie drzwi się za nim zamknęły, porwał się Gerald z fotelu, i zapominając o strasznym bólu, zaczął biegać po pokoju.

Słowa lekarza rozerwały stare, niezabliźnione rany w sercu — cała przeszłość stanęła mu tak żywo w pamięci, jak gdyby wczoraj dopiero był pożegnał Norę.

Gdy nadeszła chwila, w której musiał ją oddać stryjowi, wiedział, że wyrzeka jej się na zawsze, i że pomimo swej szalonej miłości musi się usunąć z jej życia. Pomiędzy skromnym, prowincyonalnym aktorem, a bratanką lorda Elsdale istniała przepaść, której nigdy przebyć nie zdołał.

Szlachetny i wspaniałomyślny, nie brał jej nawet za złe tego, że się przeszłości zupełnie zapierała. A jednak wówczas na dworcu — ścisnęło się serce jego gorżkim bólem, gdy patrzała na niego, jak na zupełnie obcego człowieka.

Od czasu, gdy go opuściła, lękał się ciągle, że musi nadejść godzina, w której usłyszy, że utracił ją na zawsze, że prawa tyloletnie zdobyte opieką, ktoś inny pozyskał. Dziś lekarz, nie wiedząc o tem, zadał mu cios bolesny, cios, pod którego wrażeniem zachwiała się moralna i umysłowa równowaga Geralda.

Chodząc teraz po ciasnym pokoiku, doznawał takiego uczucia, jak gdyby postarzał nagle o kilkadziesiąt lat, jak gdyby był starcem, w którym zamarło wszelkie pragnienie życia i szczęścia i wszelka zdolność odczuwania wrażeń serca.

— Może to lepiej, — szepnął, rzucając się znowu na fotel, z wyrazem śmiertelnego na twarzy znużenia. — Byle tylko Robert Keith był godnym tego skarbu, byle ona była szczęśliwą — to mi już zupełnie wystarcza!

Ale równocześnie zadrżał w sercu ból głęboki — żal za czynem, popełnionym niegdyś lekkomyślnie..... Mógł przecież wszystko odwołać! Ach, jak silną była ta pokusa! Uledz jej, znaczyło: zmienić swoje i Nory życie! Lecz nie! Nora kochała innego i tego faktu nic by w świecie zmienić nie zdołało!

W tejże chwili zapukał ktoś do drzwi.

Gerald podniósł głowę i rzekł niechętnie:

— Proszę!

Drzwi otworzyły się wolno, jak gdyby nieśmiałą popychane ręką, i na progu stanęła młoda dziewczyna, o której z taką miłością i tęsknotą właśnie myślał.

Nora zamknęła drzwi i zbliżyła się do fotelu. Gerald patrzał na nią tak, jak gdyby własnym nie dowierzał oczom, ona tymczasem stanęła blada i drżąca, nie wiedząc, co dalej czynić wypada. Oboje milczeli. Tak dużo mieli sobie do powiedzenia, a żadne ust nie śmiało otworzyć. Pierwsza Nora przerwała milczenie.

Rozdział XII.

— Nie poznajesz mnie, Geraldzie?

Dźwięczny głos Nory drżał silnie. Gerald wstał teraz i oparł się o stół. Chciał biedz ku niej, lecz siły wypowiedziały mu posłuszeństwo.

— Nie poznajesz mnie, Geraldzie? — powtórzyła Nora. — Zapomniałeś już o mnie?

— Czy zapomniałem!

W tych dwóch słowach był taki wyraz spotęgowanego uczucia, że Nora zmieszana, spuściła oczy.

— Czemu nic nie mówisz? — szepnęła.

— Co mam mówić? Wszakże przy ostatniem naszem spotkaniu się, ty mnie nie poznałaś — raczej poznać nie chciałaś, miałem więc prawo przypuszczania, że weszłaś tu przez omyłkę i dla tego czekałem na to, co ty mi powiesz. Bo przecież rozsądek nakazuje ci, abyś zapomniała o przeszłości!

Była to mimowolna wymówka i Gerald gniewał się sam na siebie, że nie umiał zapanować nad swem uczuciem.

— Ach, ja nie zapomniałam o tobie, — mówiła Nora ze łzami w oczach, — ale co miałam robić! Zabroniono mi surowo utrzymywania wszelkich z tobą stosunków, a ty sam kazałeś mi być posłuszną stryjowi.

— I w takiej nawet chwili nie zapomniałaś o posłuszeństwie?

— Ja.....

— Bardzo słusznie, ale jakże mam sobie wytłumaczyć wobec tego twoją dzisiejszą obecność u mnie?

— Nie miałam chwili spokoju! Usłyszawszy o twym bohaterskim czynie.....

— O moim bohaterskim czynie! — powtórzył z smutnym uśmiechem. — Widać, że gazety zupełnie inaczej wszystko przedstawiły. Ponieważ żadnego nie dokazałem bohaterstwa, przeto niepokój twój całkiem był zbyteczny — z tem wszystkiem, — dodał ciszej, — jestem ci bardzo za wszystko wdzięcznym!

Nora obrażona, cofnęła się szybko. Odwiedzenie to Geralda tyle jej sprawiało trudności. Narażała się na gniew stryja i na niezadowolenie narzeczonego, poniżyła się kłamstwem, aby umożliwić niespodziewaną wycieczkę do Stourton, widziała jawne podejrzenie w oczach Ewy, która koniecznie pragnęła jej towarzyszyć, a której w żaden sposób zabrać nie chciała — wszystko to tyle sprawiało jej trudności, że dawny opiekun mógł ją rzeczywiście inaczej był przyjąć.

Ale dobre jej serce zwyciężyło prędko urazę.

— Tyś ranny, — zawołała z serdecznem współczuciem. — Cierpisz bardzo? Taki jesteś zmieniony i blady!

— Doprawdy? Nic dziwnego! Z biegiem czasu wszyscy się zmieniamy. I ty dziś wyglądasz inaczej!

— Zmieniłam się? — spytała zarumieniona.

— Tak bardzo, że gdybym ja nawet nie poznał ciebie nic by w tem nadzwyczajnego nie było!

Gerald mówił zimno, szorstko nieomal. Lękał się okazać łagodniejszym, aby w chwili uniesienia nie zdradzić prawdziwych swych uczuć.

Nora patrzała na niego smutna, zmieszana i czerwone jej usta drżały lekko. Uwielbiana i otaczana hołdami, nie była przyzwyczajoną do takiego obchodzenia się z nią — dawniej też Gerald innym był dla niej!

— Jesteś chory, — rzekła niepewnym głosem — poświęcenie twe własnem przypłaciłeś zdrowiem. Gazety nic o tem nie donosiły.

— Rany są tak lekkie, że nie warto nawet o nich mówić Czy lord Elsdale wie, że przyjechałaś do mnie?

Nora zadrżała.

— Nie, nie! — zawołała żywo. — Stryj nigdyby na to nie był pozwolił! Wiem, że wszelkie moje prośby byłyby daremne, dla tego......

— Przybyłaś tu potajemnie!

— Tak. Nie mogłam postąpić inaczej!

— Zniżyłaś się więc do kłamstwa! Nie spodziewałem się tego po tobie!

Nora spuściła głowę. Kłamstwo nie było jej w nowem życiu obcem, wiedząc jednak, jak Gerald nienawidził kłamstwa, zawstydziła się teraz własnego postępowania i nie śmiała podnieść oczu na dawniejszego opiekuna.

— Nie mogę cię zatrzymywać dłużej, — rzekł aktor poważnie. — Obecność twoja tutaj, bez wiedzy hrabiego,

jest czynem nierozważnym i lekkomyślnym — niegodnym ciebie! Jestem zawsze wyrozumiałym, pomimo jednak wdzięczności, jaką mam dla ciebie za twoją o mnie troskliwość, nie chcę, abyś z mego powodu oszukiwała stryja.

W oczach Nory błysnęły łzy.

— Więc po tylu latach, — szepnęła, — nie masz mi nic innego do powiedzenia? Czy już w przekonaniu twem upadłam tak nizko, że oprócz gorżkiej wymówki nie masz innych słów dla mnie?

— Ja ci przecież nic nie wymawiałem! Jeżeli cię obraziłem bezwiednie Noro, to proszę, przebacz mi! Cóżbym ja ci miał wymawiać!

— Wszystko! Czy myślisz, że ja tego nie czuję, że sama nie gardzę sobą? Myślisz, że wówczas na dworcu, nie było mi przykro, że musiałam przejść obojętnie koło ciebie i udawać, że cię nawet nie znam wcale? Zasłużyłam na pogardę twoją i nie dziwię się, że mnie nienawidzisz!

— Nienawidzieć ciebie, Noro!

W kilku tych słowach brzmiało tyle niezmiernej czułości, że Nora, zapominając o wszystkiem, rzuciła się naprzód, i chwytając lewą rękę Geralda, z namiętną zawołała prośbą.

— Przebacz mi Geraldzie! Przebacz mi!

— Słowo to nie powinno nawet istnieć między nami, — wyszeptał Gerald blady, jak ściana. — Jesteś winną posłuszeństwo stryjowi — i za to nie potrzebujesz mnie doprawdy przepraszać. Nie byłbym też nigdy stanął dobrowolnie na drodze twego życia, i gdyby nie ten nieszczęśliwy pożar, nie bylibyśmy się prawdopodobnie zobaczyli! Nigdy! Żałuję, że się tak stało, chociaż z drugiej strony cieszę się, że zachowałaś dobre o mnie wspomnienie, i że zatrwożona o zdrowie starego opiekuna, nie zawahałaś się odwiedzić go!

Silna jego dłoń obejmowała gorącym uściskiem białe, delikatne jej paluszki, a ciemne oczy jaśniały wyrazem głębokiego uczucia i tkliwości.

Wobec tego spojrzenia, tchnącego najszczerszą miłością, stała Nora zmieszana, zarumieniona, jak różyczka i nie śmiała spojrzeć na niego. Milczała więc — lecz słowa jego dziwnem ją przejmowały szczęściem.

— Jak ty się zmieniłaś, Noro, — odezwał się po chwili Gerald, zachwycony jej cudownie piękną twarzą i klasyczną, posągową postacią.

— Dla ciebie nie chciałabym być zmienioną! szepnęła smutnie.

— Ja też tak nie myślałem..... Ale jaki jestem nieuważny i niegrzeczny. Siadaj, proszę cię!

Nora przysunęła sobie nizką ławkę tuż do jego fotelu i usiadła prawie u stóp jego, tak, jak to czyniła, małą będąc dziewczynką.

— Powiedz mi przynajmniej, — prosiła, — że widok mój nie sprawia ci przykrości, że zadowolony jesteś z mego przybycia!

Gerald uśmiechnął się.

— Szczęśliwy jestem, — rzekł, — a ty?

— Po co tu przybyłam? — odpowiedziała z zachwycającą pokorą.

Cała jej miłość i wdzięczność dla Geralda, tłumiona tak długo i przygłuszona życiem w wielkim świecie, zbudziły się nagle w jej sercu z całą potęgą na widok cierpienia jego.

— Mów mi o sobie, — szepnęła. — Jak ci się wiodło od czasu — — — Czy rany bardzo ci dokuczają? Jakim strachem przejmowała mnie wczoraj myśl o grożącem ci niebezpieczeństwie.

— Położenie moje nie było wcale tak strasznem — jak widzisz, nic mi się nie stało. Co do przeszłości — nie wiele mam ci do powiedzenia — ostatnie lata ubiegły cicho i spokojnie.

— A Goody — to jest pani Clavering — żyje?

— Naturalnie.

— Gdzie mieszka teraz?

— W Rose Cottage, jak dawniej, — odrzekł z pewnem wahaniem, patrząc w podniesioną ku sobie śliczną twarzyczkę dziewczęcia.

— Jeszcze w Rose Cottage?

— Tak. Utrzymuje dom w porządku, abym w razie zbytniego zmęczenia pracą, mógł tam znaleźć cichy kąt i spokój!

Oczy ich spotkały się na chwilę. Nora odgadła natychmiast, że dobrodziejstwo, wyświadczone jej dawniejszej ochmistrzyni, chce Gerald pokryć pozorami samolubnej troski o przyszłość.

— Widujesz ją często? — spytała.

— O nie! — odrzekł Gerald krótko i zarumienił się mimowoli. Ładny, zaciszny domek, z takiem niegdyś staraniem dla Nory urządzony, zbyt mu ją żywo przypominał i każdorazowy pobyt jego tam na nowo serdeczne zakrwawiał rany.

— Zapomniała już pewnie o mnie?

— O nie! Tacy ludzie jak ona i ja nie zapominają tak łatwo. Tylko w waszym świecie trzeba uczucie, jako ciężar niepotrzebny, wyrzucać z serca!

Twarz Nory gorącym pokryła się rumieńcem. Tyle była Geraldowi winną wdzięczności, że dług ten zaczynał ją gniewać poprostu. Dumna i wyniosła nie mogła się pogodzić nagle z myślą, że przez dziesięć lat żyła jałmużną tego człowieka, ona, najbogatsza dziedziczka całego hrabstwa!

— Przebacz mi Noro, — rzekł Gerald cicho, — nie chciałem cię obrazić. I proszę cię, nie gniewaj się na mnie, jeżeli ci powiem, że pomimo radości, jaką mi przybyciem twojem sprawiłaś, muszę ci zwrócić uwagę na to, że nie powinnaś pozostać dłużej u mnie. Gdzie twój powóz?

— Stoi przy księgarni. Przyszłam tu pieszo, — odpowiedziała zmieszana. — To tak blizko... Geraldzie, czy nie mogłabym uczynić coś dla ciebie? Cały zamek Elsdale jest na twe rozkazy. Stryj Norman pozwoli mi przysłać ci wszystko, czego sobie życzysz, wszakże wszyscy nasi goście mówią o twojej odwadze i twem poświęceniu się.

— Ach, nie warto mówić o tem!

— Nie warto, jeżeli dla biednego małego dziecka narażałeś się na śmierć!

— Życie żadnej nie ma dla mnie wartości, — szepnął z smutnym uśmiechem. — Śmierć moja nikomu by pewnie przykrości nie sprawiła.

— To nieprawda! — zawołała, podnosząc ku niemu oczy pełne łez.

— Mówmy lepiej o tobie, — rzekł. — Jesteś szczęśliwą na twem nowem stanowisku?

— Bardzo!

— Lord Elsdale jest dobrym dla ciebie?

— I jak! Kocha mnie niezmiernie i powtarza często, że jestem jego słońcem, jego jedynem teraz szczęściem.

— A jednak — — powiadano mi — że — opuścisz wnet dom jego — —

Nora uśmiechnęła się słodko.

— Czy to prawda — Noro?

— Tak! — szepnęła cichutko.

Przez chwilę głębokie zapanowało milczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wśród walki z losem.

34) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

— Zapomniałam powiedzieć pani, że wczoraj wieczorem znalazłam w ogrodzie ten guzik. Należy on do Walentego? — zapytała wyjmując guzik z kieszeni i podając go Florze, lecz w tejże samej chwili ze zdumienia w tył się cofnęła, albowiem Flora na widok guzika z przerażeniem chwyciła się oburącz za głowę i wlepiła w niego wzrok pełen najwyższego przestrachu.

— Wielki Boże! — zawołała ochrypłym głosem.

— Czy pani znasz ten guzik? Należy on do Walentego, lub do kogo ze znajomych?

Ale Flora zapanowała już nad sobą i odpowiedziała spokojnie: Nie, tylko się tak ogromnie zdziwiłam; jestem strasznie zdenerwowaną, ta ustawiczna niepewność od zmysłów mię odwodzi.

— Więc pani tego guzika nie znasz?

— Nie — odpowiedziała Flora, ale głos jej brzmiał mniej stanowczo.

Gdy Helena i mrs. Merrick były już przy drzwiach, Flora podniosła się z krzesła, jak gdyby chciała wyjść za niemi, lecz żadna z wychodzących nie zauważyła tego i obie kobiety zeszły wolnym krokiem ze schodów kierując się w główny korytarz.

— Jesteś bardzo osłabioną, mamo — ozwała się Helena patrząc z współczuciem na swą towarzyszkę.

— Ta straszliwa niepewność zabija mnie — odpowiedziała mrs. Merrick wątłym głosem.

— Może też już w Richmond czeka na nas list — ozwała się Helena, by ją nieco pocieszyć. — My obie musimy być mężnemi i nie tracić zaraz nadziei dla tego. że nasza podróż nie przyniosła pożądanego skutku.

— Zapewne — odpowiedziała stara kobieta i westchnęła ciężko — Cóż począć. —

— Trzeba nie tracić nadziei w Opatrzność Boską i ufać sobie wzajemnie. Tak przedewszystkiem ufać sobie wzajemnie — rzekła Helena z przyciskiem.

— Zapewne.

— Czy byłabyś pani w stanie pójść ze mną do Temple? chciałabym raz jeszcze pomówić z pisarzem. Mam go się o coś zapytać, o czem zupełnie zapomniałam. Poświęcę cały majątek, poruszę świat cały, a odnaleść go muszę. Teraz dopiero moje bogactwo zaczyna mieć wartość dla mnie.

— Lecz gdyby Walenty dziś wieczór powrócił, pomyśl, jakby się gniewał, żeśmy tyle o niego narobiły hałasu.

— Tak, tak, musimy i o tem pamiętać, — odpowiedziała Helena, chociaż wcale o tem nie myślała. Zajęta była widocznie jakąś myślą tajemną, lecz naumyślnie zamilczała ją przed mrs. Merrick. Staruszka potrzebowała pociechy i współczucia, Helena wiedziała to dobrze, nie zapominając wszakże ani na chwilę tego, co czynić postanowiła.

Już były na progu, gdy jakiś mężczyzna wbiegł szybkim krokiem na kamienne schody i nie zważając na nie miał je właśnie minąć, gdy Helena, ku niemałemu zdziwieniu mrs. Merrick, pochwyciła go za rękę i zatrzymała w pół drogi.

— Mr. Wirtlow!

Zatrzymany tak niespodzianie stanął jak wryty, zdjął kapelusz i oddał im pełen uszanowania ukłon; pochlebiało mu to bowiem, że Helena pierwsza go zaczepiła. Lecz jeszcze większem było jego zdziwienie, gdy go zapytała obcesowo: Czy pan tu mieszkasz?

— Nie, obecnie nie mieszkam tutaj. Atmosfera tej okolicy nie odpowiada memu zdrowiu, a raczej mojej kieszeni.

— Kogo pan tutaj szukasz? pytała dalej gorączkowo.

— Mego przyjaciela, mr. Barklay. Mam nadzieję, że jeszcze nie wyjechał; należy mi się od niego mała sumka, o której mówić nie warto.

— Nie słyszałeś pan jeszcze nowiny?

— Cóż takiego miałem słyszeć? Wielki Boże! Czy czasem nie zbankrutował?

Przerażenie, jakie się odbiło przy tych słowach na obliczu Wirtlowa, było tak naturalne i prawdziwe, że podejrzenie, jakie na widok jego nągle przez głowę jej strzeliło, pierzchło natychmiast.

— Mr. Barklay miał wraz z mr. Merrickiem i państwem Andison jechać na kontynent, wyjazd oznaczony był na dzień dzisiejszy, ale mr. Merrick nie stawił się.

— Tak, nie stawił się — powtórzył głosem, który dawał poznać, że to, co usłyszał jest mu dość obojętnem. — Ale cóż to ma za związek z ową nowiną?

— To właśnie jest nowiną.

— Tak, to jest nowiną? — powtórzył, a zdziwienie jakie się malowało w jego głupkowatych oczach, utwierdziło Helenę w przekonaniu, że on ze zniknięciem Walentego Merrick nic wspólnego nie ma.

— Mr. Barcklay jest w domu, zastaniesz go pan — rzekła Helena zwracając się do odejścia, lecz naraz nową myślą uderzona zwróciła się na powrót i zawołała na niego.

Mr. Wirtlow, który już był na ostatnim stopniu, zawrócił nagle, a porwawszy kapelusz z głowy pełen gotowości stanął przed nią.

— Nie mógłbyś pan towarzyszyć nam parę kroków? — zapytała.

— Ależ moja droga — poczęła mrs. Merrick — wszakże Helena uścisnęła lekko jej ramię na znak, by jej nie przerywała.

— O, z największą przyjemnością — odpowiedział z głębokim ukłonem.

— Zdaje mi się, że pan nie znajdujesz się obecnie w tak dobrych stosunkach, jak dawniej — rzekła Helena, — nie miałeś pan szczęścia w interesach od czasu, gdyśmy się raz ostatni widzieli.

— Aa, hm — jąkał mr. Wirtlow. — Tegobym właściwie nie powiedział. Ale zkąd pani wiesz o tem?

— Chociaż opuściłam Weddercombe — odpowiedziała Helena — jednakże tak ono, jak i Hernley nie straciło dla mnie interesu, a wieści z prowincyi przenikają niekiedy i do mnie.

— Przebrzydłe długie ozory! Doprawdy ci ludzie wszystko muszą zaraz roztrąbić. Z pewnością czytałaś pani

ten potwarczy paszkwil w „Kuryerze Clingfordskim“; alem ich zmusił do odwołania go, co do słowa. Ale tego naturalnie nie czytałaś pani; ludzie zazwyczaj nie zważają na podobne rzeczy.

— Słyszałam, że nieszczęśliwe spekulacye . . . .

— Zrujnowały mię. Tak jest prawda, ale nie zupełnie. Był to cios dość znaczny wprawdzie, i część moich oszczędności (byłem zawsze człowiekiem przezornym) tak samo, jak mej siostry, poszła do dyabła, ale się przecie nie wyszypłałem do ostatka, proszę panią. Każdy interes, jaki byś mi pani powierzyć raczyła, zostanie przeprowadzonym z takąż samą dokładnością i sumiennością jak dawniej.

Mrs. Merrick, która z tego wszystkiego nic nie pojmowała, chciała znów przerwać, ale Helena dała jej znak, by milczała. Człowiek, który szedł obok nich, był widocznie podpiły, ubiór jego ile w zmroku dostrzedz było można, wytarty, a zachowanie się jego uniżone aż do zbytku. Cóż takiego chcieć mogła od niego Helena?

— Ile się panu należy od mr. Barklaya?

— O, nie wiele, ale ponieważ wyjeżdża, chciałem go o to prosić.

— Ileż?

— No, jeżeli pani chcesz koniecznie wiedzieć, należy mi się od niego jedna gwinea. Komisowe dla psa — dodał z większą fantazyą.

Helena popatrzyła na niego zdziwiona. — Musi źle stać z panem, skoro panu tak chodzi o jedną gwineę. Bardzo mi przykro.

— No, gwinea jest zawsze tylko gwineą — odpowiedział — a krótkie rachunki nie robią z przyjaciół wrogów. Nie mogę powiedzieć, by mi tak bardzo chodziło o jednę gwineę, ale powiedziawszy prawdę, szczęście nie sprzyjało mi. Gdyby tak jaki życzliwy przyjaciel, któremu dawniej rzetelnie służyłem...

— Pożyczę panu, nie, daruję panu pięćdziesiąt gwinei, bylebyś pan od Artura Barklay swej zaległości nie żądał, nie pokazywał mu się na oczy, iżby nie wiedział, że jesteś w Londynie, i — urwała obawiając się obrazić go takiem poleceniem.

— I cóż więcej? Proszę, niech pani dokończy, jestem całkiem na jej usługi.

— I będziesz go pan miał na oku.

— Heleno! — zawołała mrs. Merrick przerażona.

— Pst! — nie przerywaj mi pani. Gdyby się nic złego nie działo, toby się też nic złego nie myślało. Dla dobra Walentego mogę zostać na chwilę szpiegiem, a jeżeli zbłądzę, chętnie za to odpokutuję, ale mi się bardzo wydaje i z pewnością się nie mylę, że Artur Barklay wie, co się z Walentym stało.

— Na Boga! cóż też ty wygadujesz!

— Tak mi się przynajmniej wydaje — poprawiła się Helena.

— Jestem na rozkazy pani — rzekł mrs. Wirtlow. — Nie widzę powodu, dlaczegobym się miał wahać usłużyć jej w tej delikatnej sprawie. Mam czasu dosyć, prawdę mówiąc, uciekłem do Londynu, by się ukryć.

— A więc miej pan go na oku i daj mi zaraz znać, gdy coś odkryjesz — rzekła Helena. — Postaraj się pan wywiedzieć, gdzie przebywa, z kim przestaje, a skoro to wypośrodkujesz, przyjdź po pieniądze. Oto mój adres.

— Tysiączne dzięki, mrs. Barklay! jestem pani nieskończenie obowiązany. Będę ostrożny, możesz się pani śmiało spuścić na mnie. — Zdjął kapelusz i skłoniwszy im się zniknął wśród gęstej mgły nocnej.

Mrs. Merrick uchwyciła silniej ramię Heleny. — Z czego wnosisz, że Artur Barklay wie, co się stało z Walentym? — zapytała.

— Powiem to pani w drodze. Lecz gdybym była w błędzie, nie będziesz mi robiła zarzutów?

— Nie, nie.

— Mam powód podejrzywać go, pomimo, że dawniej podejrzywałam go niesłusznie — rzekła ze smutkiem. — Teraz, mateczko, chodźmy do Temple, jeżeli nie jesteś zbyt strudzoną.

— Nie, nie.

— Wiem, że nie będę miała spokoju, dopókąd go nie odszukam — mówiła Helen — a wtedy. — Nie dokończyła, ale mrs. Merrick pochwyciła jej ostatnie słowa:

— A wtedy cóż?

— Wtedy moje posłannictwo skończone; ustąpię z widoczni pozostawiając go szczęśliwym z tobą pani i Florą Andison.

Artur Barklay rozmawiał z sir Charlem, studyując przytem bardzo pilnie kartę Szwajcaryi, co nie przeszkadzało mu bynajmniej śledzić ukradkiem każdy ruch Flory Andison. Gdy jednakże spostrzegł gromadzące się na jej czole chmury, opuścił baroneta i zbliżył się do niej nieśmiało.

— Pani martwisz się całkiem niepotrzebnie, zbyt czarno zapatrujesz się na wszystko — ozwał się z cicha. — Jakiż znów powód masz pani, tak bardzo się niepokoić? Mr. Merrick to człowiek czynu, takich ludzi powołują zazwyczaj niespodzianie dla rozstrzygnięcia ważnych, a zawiłych spraw. Tysiączne mogą być powody jego nieobecności, ale do obawy nie ma żadnego.

— Więc pan podzielasz mój smutek?

— Podzielam najzupełniej.

— Dlaczego? Czy dla tego, że jestem przyjaciółką pańską?

— Tak, jesteś pani moją prawdziwą przyjaciółką. Ileż ja pani zawdzięczam! Pani swym łagodnym wpływem zrobiłaś mnie lepszym człowiekiem, wskazałaś drogę, do odzyskania straconego szacunku, obdarzyłaś swem zaufaniem i tem zaufaniem natchnęłaś innych. — Tak twoje smutki, pani, są także i mojemi .

Te ostatnie słowa wypowiedział już przez pół do siebie, z wzrokiem utkwionym w ziemię, a cała jego postawa wyrażała przygnębienie.

— Nie lubię tego rodzaju wdzięczności — odpowiedziała niecierpliwie.

— Nie mniej jednakże czuję wdzięczność dla pani.

— Dajmy temu pokój! Powiedz mi pan raczej, ale szczerze, czy Helena Barklay wie o Walentym?

— Nie, nie podejrzywam ją o to.

— Jednakże niezupełnie jej ufasz.

Artur Barklay potrząsnął głową, ale nic nie odpowiedział.

— Dlaczego milczysz pan? czemu mi nie odpowiadasz?

— Dla Boga! miss Andison, nie męcz mię pani tego rodzaju pytaniami. Nie znam nic, a nic Heleny Barklay, jej charakter był zawsze dla mnie zagadką. Chciałbym jaknajlepiej sądzić o niej, ale bywają w życiu chwile, gdzie nie jesteśmy panami własnych myśli, a wtedy łatwo się omylić. Przez litość, nie zmuszajże mię pani, bym powiedział za wiele.

Porwał się raptownie z krzesła, przeszedł gwałtownemi krokami pokój tam i napowrót i ku niemałemu zdziwieniu sir Churla i lady Andison pochwycił za kapelusz.

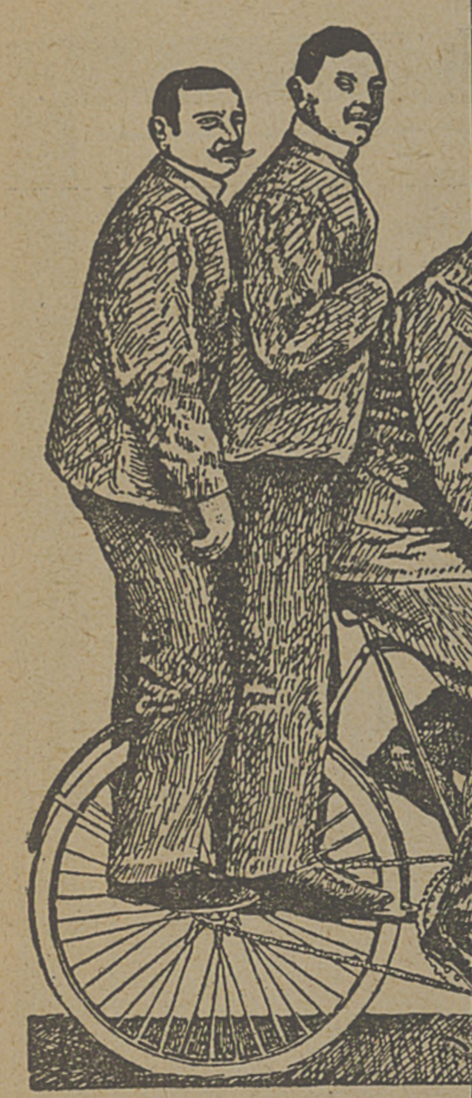
— Pan odchodzisz? — zapytał sir Churles.

— Cóż tu mam robić? tracę tylko czas niepotrzebnie.

— Ale pan przyjdziesz jeszcze wieczorem?

— Nie wiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wśród walki z losem.

34) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

— Zapomniałam powiedzieć pani, że wczoraj wieczorem znalazłam w ogrodzie ten guzik. Należy on do Walentego? — zapytała wyjmując guzik z kieszeni i podając go Florze, lecz w tejże samej chwili ze zdumienia w tył się cofnęła, albowiem Flora na widok guzika z przerażeniem chwyciła się oburącz za głowę i wlepiła w niego wzrok pełen najwyższego przestrachu.

— Wielki Boże! — zawołała ochrypłym głosem.

— Czy pani znasz ten guzik? Należy on do Walentego, lub do kogo ze znajomych?

Ale Flora zapanowała już nad sobą i odpowiedziała spokojnie: Nie, tylko się tak ogromnie zdziwiłam; jestem strasznie zdenerwowaną, ta ustawiczna niepewność od zmysłów mię odwodzi.

— Więc pani tego guzika nie znasz?

— Nie — odpowiedziała Flora, ale głos jej brzmiał mniej stanowczo.

Gdy Helena i mrs. Merrick były już przy drzwiach, Flora podniosła się z krzesła, jak gdyby chciała wyjść za niemi, lecz żadna z wychodzących nie zauważyła tego i obie kobiety zeszły wolnym krokiem ze schodów kierując się w główny korytarz.

— Jesteś bardzo osłabioną, mamo — ozwała się Helena patrząc z współczuciem na swą towarzyszkę.

— Ta straszliwa niepewność zabija mnie — odpowiedziała mrs. Merrick wątłym głosem.

— Może też już w Richmond czeka na nas list — ozwała się Helena, by ją nieco pocieszyć. — My obie musimy być mężnemi i nie tracić zaraz nadziei dla tego, że nasza podróż nie przyniosła pożądanego skutku.

— Zapewne — odpowiedziała stara kobieta i westchnęła ciężko — Cóż począć. —

— Trzeba nie tracić nadziei w Opatrzność Boską i ufać sobie wzajemnie. Tak przedewszystkiem ufać sobie wzajemnie — rzekła Helena z przyciskiem.

— Zapewne.

— Czy byłabyś pani w stanie pójść ze mną do Temple? chciałabym raz jeszcze pomówić z pisarzem. Mam go się o coś zapytać, o czem zupełnie zapomniałam. Poświęcę cały majątek, poruszę świat cały, a odnaleść go muszę. Teraz dopiero moje bogactwo zaczyna mieć wartość dla mnie.

— Lecz gdyby Walenty dziś wieczór powrócił, pomyśl, jakby się gniewał, żeśmy tyle o niego narobiły hałasu.

— Tak, tak, musimy i o tem pamiętać, — odpowiedziała Helena, chociaż wcale o tem nie myślała. Zajęta była widocznie jakąś myślą tajemną, lecz naumyślnie zamilczała ją przed mrs. Merrick. Staruszka potrzebowała pociechy i współczucia, Helena wiedziała to dobrze, nie zapominając wszakże ani na chwilę tego, co czynić postanowiła.

Już były na progu, gdy jakiś mężczyzna wbiegł szybkim krokiem na kamienne schody i nie zważając na nie miał je właśnie minąć, gdy Helena, ku niemałemu zdziwieniu mrs. Merrick, pochwyciła go za rękę i zatrzymała w pół drogi.

— Mr. Wirtlow!

Zatrzymany tak niespodzianie stanął jak wryty, zdjął kapelusz i oddał im pełen uszanowania ukłon; pochlebiało mu to bowiem, że Helena pierwsza go zaczepiła. Lecz jeszcze większem było jego zdziwienie, gdy go zapytała obcesowo: Czy pan tu mieszkasz?

— Nie, obecnie nie mieszkam tutaj. Atmosfera tej okolicy nie odpowiada memu zdrowiu, a raczej mojej kieszeni.

— Kogo pan tutaj szukasz? pytała dalej gorączkowo.

— Mego przyjaciela, mr. Barklay. Mam nadzieję, że jeszcze nie wyjechał; należy mi się od niego mała sumka, o której mówić nie warto.

— Nie słyszałeś pan jeszcze nowiny?

— Cóż takiego miałem słyszeć? Wielki Boże! Czy czasem nie zbankrutował?

Przerażenie, jakie się odbiło przy tych słowach na obliczu Wirtlowa, było tak naturalne i prawdziwe, że podejrzenie, jakie na widok jego nagle przez głowę jej strzeliło, pierzchło natychmiast.

— Mr. Barklay miał wraz z mr. Merrickiem i państwem Andison jechać na kontynent, wyjazd oznaczony był na dzień dzisiejszy, ale mr. Merrick nie stawił się.

— Tak, nie stawił się — powtórzył głosem, który dawał poznać, że to, co usłyszał jest mu dość obojętnem. — Ale cóż to ma za związek z ową nowiną?

— To właśnie jest nowiną.

— Tak, to jest nowiną? — powtórzył, a zdziwienie jakie się malowało w jego głupkowatych oczach, utwierdziło Helenę w przekonaniu, że on ze zniknięciem Walentego Merrick nic wspólnego nie ma.

— Mr. Barcklay jest w domu, zastaniesz go pan — rzekła Helena zwracając się do odejścia, lecz naraz nową myślą uderzona zwróciła się na powrót i zawołała na niego.

Mr. Wirtlow, który już był na ostatnim stopniu, zawrócił nagle, a porwawszy kapelusz z głowy pełen gotowości stanął przed nią.

— Nie mógłbyś pan towarzyszyć nam parę kroków? — zapytała.

— Ależ moja droga — poczęła mrs. Merrick — wszakże Helena uścisnęła lekko jej ramię na znak, by jej nie przerywała.

— O, z największą przyjemnością — odpowiedział z głębokim ukłonem.

— Zdaje mi się, że pan nie znajdujesz się obecnie w tak dobrych stosunkach, jak dawniej — rzekła Helena, — nie miałeś pan szczęścia w interesach od czasu, gdyśmy się raz ostatni widzieli.

— Aa, hm — jąkał mr. Wirtlow. — Tegobym właściwie nie powiedział. Ale zkąd pani wiesz o tem?

— Chociaż opuściłam Weddercombe — odpowiedziała Helena — jednakże tak ono, jak i Hernley nie straciło dla mnie interesu, a wieści z prowincyi przenikają niekiedy i do mnie.

— Przebrzydłe długie ozory! Doprawdy ci ludzie wszystko muszą zaraz roztrąbić. Z pewnością czytałaś pani